# PAMIĘTNIKI

## Stanisława Jana Czarnowskiego

### WSPOMNIENIA z TRZECH STULECI XVIII, XIX i XX.



*Roznosicielka wody.*

**TOM IV**

obejmujący zeszyty 19—24

**CENA zł. 3.**

......

WARSZAWA
SKŁAD GŁÓWNY
w DOMU
KSIĄŻKI POLSKIEJ
Plac Trzech Krzyży
№ 8.
1928 r.

# PAMIĘTNIKI

## Stanisława Jana Czarnowskiego

### WSPOMNIENIA z TRZECH STULECI XVIII, XIX i XX.



*Arab sprzedający niewolnicę.*

BRACIOM SWOIM
I KOLEGOM
PAMIĘTNIKI TE
I WSPOMNIENIA
MŁODOŚCI
WSPÓLNIE
PRZEBYTEJ
POŚWIĘCA
AUTOR.

WARSZAWA.
SKŁAD GŁÓWNY
w KSIĘGARNI
GEBETHNERA
i WOLFFA
1926 r.
Zeszyt 22

Odbito w tłoczni p. f. „St. Święcki" w Kielcach
w małej ilości egzemplarzy.

# Konstantynopol i wybrzeża Bosforu.

Po zwiedzeniu nadmorskich pałaców sułtańskich Dolma-Bagcze i Cziraganu, wybrałem się z Ma do Ildiz-Kiosku, rezydencji współczesnej sułtana, w niedzielę 15 maja 1887 r., przy pięknej pogodzie.

Zaraz po wczesnem śniadaniu, z pakietem żywności na cały dzień, wyruszyliśmy przez Wielką ulicę Pery na przedmieście Pankaldi. Tu, minąwszy gmach Szkoły wojskowej, przez dolinkę umajoną zielenią wiosenną, doszliśmy do bramy starego ogrodu ocienionego szeregiem wysokich sosen parasolowych i starych lip rozłożystych. Od nich ogród ten zwie się Kuczuk-Flamur-bagcze czyli Mały ogród lip. W pobliżu bowiem w dolinie sąsiedniej leży drugi ogród sułtański zwany Bujuk-Flamur-bagcze (Wielki ogród lip) z prześlicznym pałacykiem z białego marmuru.

Bramę pierwszego ogrodu Kuczuk-Flamur otworzył nam uprzejmie młody ogrodnik turek, poprosił spocząć na ławeczce pod staremi lipami. Wkrótce potem przyniósł nam na tacy dwie czarki kawy czarnej gorącej, a później karafkę wody czystej jak kryształ, którą zaczerpnął ze źródła, wytryskającego obok z marmurowego zbiornika. Strumyk biorący tu początek płynie dalej przez ogród i piękną dolinę aż do Bosforu, gdzie wpada wpobliżu pałacu Dolma-Bagcze. Młody ogrodnik mieszkał w małym dworku parkowym i uprawiał rozległe plantacje jarzyn rozmaitych. Zapłaciwszy za kawę, podziękowałem gospodarzowi za uprzejmą gościnę i miły wypoczynek.

Wkrótce potem, minąwszy wielki Arsenał wojskowy Niszantaszu, doszliśmy do drugiego ogrodu sułtańskiego Bujuk-Flamur, którego szeroka brama była otwarta, a odźwierny podlewał kwietniki w pobliżu. Piękny tameczny pałacyk z białego marmuru, z bogatą ornamentacją, błyszczał lśniącemi ścianami wpośród bujnej zieleni drzew i krzewów. Dawniej odbywały się tutaj wykłady profesorów nadwornych i lekcje dla synów sułtańskich.

Przed laty kilkunastu kształcił się tu najstarszy syn sułtana Abdul-Hamida Selim-Effendi pod kierunkiem fachowych profe-

sorów. Ale niestety zausznik sułtański Lufti-Aga, chytry pochlebca, zdołał wmówić w podejrzliwego ojca, że syn ów niezwykle uzdolniony, może być niebezpieczny i zapragnie podstępnie pozbawić tronu swego rodzica. Przypadek zdarzył, że profesorowie młodego księcia, dla uzupełnienia jego wychowania sprowadzili z haremu sułtana śliczną tancerkę, armenkę. Młody niedoświadczony książę nie zmiarkował, że pachniało to poniekąd kazirodztwem. Gdy czujni służalcy donieśli o tem sułtanowi — ten wybuchnął gniewem strasznym na syna. Kazał go uwięzić w jednym z pawilonów Ildiz-Kiosku i poddał surowej straży. Nauki księcia Selima przerwano, a on sam został całkiem odosobniony od świata. Ożeniono go potem z zaufaną turczynką, z którą miał jedną córeczkę, uwielbianą przez oboje rodziców. Mimo to młody książę trzymany był nieustannie pod ścisłym nadzorem, podobnie jak zdetronizowany przez intrygi sułtana Abdul-Hamida jego brat Murad V-ty.

Podczas naszej wycieczki w pałacyku i ogrodzie Bujuk-Flamur pusto było i smutno. Ptactwo tylko dzikie świergotało zcicha. Po krótkim wypoczynku w cieniu starych lip wyruszyliśmy dalej przez puste ulice w stronę ówczesnej rezydencji sułtana Abdul-Hamida.

Ildiz-Kiosk czyli Pałac Gwiazdy był podówczas zamknięty i niedostępny dla publiczności. Gmach ten acz duży i okazały, zbudowany z białego marmuru, nie przedstawia nic godnego uwagi pod względem architektonicznym. Otacza go rozległy park, zamknięty wokół wysokiemi murami, począwszy od wyżyny przedmieścia Ortakiej aż do pałacu Cziragan nad brzegiem Bosforu.

Ojciec sułtana Abdul-Hamida Abdul-Medżid w r. 1844 zbudował pałac Ildiz-Kiosk jako swe mieszkanie kawalerskie i nadał mu tę nazwę od imienia Ildiz (Gwiazda) pięknej czerkieski największej swej ulubienicy. Stopniowo rozszerzano park otaczający ów pałac aż do dzisiejszych rozmiarów. Powoli też wznoszono tam liczne zabudowania dworskie, osobne pałacyki i pawilony dla członków rodziny sułtańskiej, dla licznych dworzan i służby, wreszcie dla celów gospodarczych: na kuchnie, składy żywności, młyny, warsztaty robocze i t. p. Przeszło 7.000 osób, należących do rodziny, dworu i służby sułtana zamieszkiwało tę wielką rezydencję wegetując tam pasożytniczo, wysysając soki żywotne z całego państwa otomańskiego.

Sam sułtan Abdul-Hamid, w nieustannym strachu o swoje życie, przebywał tam w odosobnieniu od reszty świata. Przyjmował tylko najzaufańszych ministrów, ambasadorów i rzadkich gości cudzoziemskich. Raz w tydzień, w dzień świąteczny piątkowy, wyjeżdżał ze swej rezydencji do pobliskiego meczetu Hamidje, który kazał zbudować naprzeciw bramy swego pałacu, aby odbyć publicznie krótkie nabożeństwo, do jakiego jest obrzędowo obowiązany jako kalif czyli głowa religji mahometańskiej.

Dawniej sułtani dla odbycia tych modłów świątecznych czyli Selamliku, jeździli z wielką paradą do wielkich meczetów Stambułu. Abdul-Hamid w obawie zaburzeń ulicznych i spisków politycznych, bał się wyruszać dalej za swą rezydencję otoczoną wokoło wysokiemi murami i licznemi strażami.

Idąc wzdłuż owych murów przez rozległy plac, pomiędzy meczetem Hamidje a parkiem sułtańskim, niosłem biały parasol rozłożony dla osłonięcia Ma od upału. Znienacka z tyłu zbliżył się do nas tajny agent, śledzący nas zdaleka i poprosił, abym zwinął swój parasol, gdyż wpobliżu pałacu sułtana niewolno nikomu zasłaniać się.

Pałac Ildiz-Kiosk, cały park otaczający go, i wszystkie tamtejsze zabudowania były zawsze od zmroku do wschodu słońca oświetlone elektrycznie przez całą noc, i pilnowane czujnie przez liczne straże tajne. Sułtan nie może sypiać po nocach i zawsze baczy, aby wszystkie zakątki parku były oświetlone. Niekiedy rozkazuje całym oddziałom gwardji odbywać przemarsze koło pałacu, albo znów grać orkiestrze wojskowej do późnej nocy. Najzaufańsi dworacy nie wiedzą, w której komnacie pałacu sułtan noc przepędzi. Abdul-Hamid wielki zbrodniarz, tajny morderca licznych ofiar swej polityki tyrana, ździercy i łapownika głównego — ma sen niespokojny, przerywany zgzyzotą sumienia, a oblicze równie ohydne jak jego nikczemna dusza.

O jego urodzeniu chodzą różne legendy. Niewiadomo napewno, kto był jego ojcem. Według jednych ojcem jego był stangret, wożący na spacery jego matkę sułtankę-walide. Według innych francuz-architekt, który budował pawilony pałacu Czinganu, gdzie mieszkała matka Abdul-Hamida. Zdarzyło się, że policja podsłuchała kilkunastu studentów śpiewających zakazaną surowo piosenkę o zagadkowem ojcostwie sułtana. Aresztowano wszystkich i uwięziono z rozkazu sułtana. A potem zginęli gdzieś bez śladu. Prawdopodobnie utopieni w morzu potajemnie. Po detronizacji Abdul-Hamida, po rewolucji młodotureckiej, znaleziono w lochach pałacowych kilka szkieletów przykutych do muru łańcuchami, ludzi skazanych na śmierć głodową.

Abdul-Hamid od dzieciństwa był ponury i samotny. Nie lubił zabaw z rodzeństwem. Gdy jego małe siostry, nabiegawszy się po parku, kładły się spać na sofach, Abdul-Hamid podchodził do nich i kradł ich brylantowe kolczyki, broszki i sznury pereł, w czem podpatrzyli go dworacy. Od dzieciństwa ciułał sobie tajny skarbiec. Z niego potem przekupywał intrygantów i dygnitarzy, którzy jego brata jakoby obłąkanego zdetronizowali na rzecz Abdul-Hamida.

Za koncesje kopalni, kolei żelaznych i t. p. największe łapówki miljonowe brał przedewszystkiem sułtan, potem dopiero pomniejsze cały szereg dygnitarzy jako bakszysze zwyczajowe.

O różnych tajnych zbrodniach politycznych Abdul-Hamida krążą przeróżne legendy niezliczone.

Takim był ten cień Allacha na ziemi, namiestnik wielkiego Proroka, kalif i głowa religji Mahometańskiej — tyran i despota ohydny, dopóty aż go zwaliła z tronu rewolucja młodoturków, wtrącając do więzienia w Salonice.

Rozpoznawszy w naszej wycieczce teren Ildiz-Kiosku i meczetu Hamidje, wybrałem się z Ma w najbliższy piątek (stanowiący święto tygodniowe u mahometan, tak jak sobota szabas u żydów, a niedziela u chrześcjan) na uroczyste nabożeństwo sułtańskie czyli t. zw. selamlik, odprawiający się w południe z wielką paradą. Zamiast iść na obiad od godziny 12 do 1-ej, wstąpiłem do domu po Ma i dorożką pojechaliśmy do Ildiz-Kiosku. Wokoło meczetu Hamidje stały już tłumy ciekawych. Gromadka turczynek koło nas zaczęła głośno protestować przeciwko mojej wśód nich obecności. Paru agentów tajnej policji ubranych w czarne surduty i fezy czerwone, zażądało abym odszedł między mężczyzn. Uczyniłem to zaraz ale razem z Ma, ująwszy ją pod rękę, aby się z nią w tłumie nie rozłączyć. Wkrótce podwójny szereg konnicy odsunął widzów od meczetu, tworząc koło niego obszerny czworobok wolnego miejsca. Z bramy głównej pałacu Ildiz wyjechała kareta, w której siedział sułtan Abdul-Hamid z Gazi-Osman-paszą zwycięzcą z pod Plewny, wielce popularnym i czczonym patriotą tureckim. Gazi czyli zwycięzki jest to tytuł nadawany wodzom, którzy mężnie walczyli podczas wojen tureckich. Tchórzliwy sułtan osłaniał się osobą lubianego wodza w obawie zamachu. Tuż za karetą gromada generałów, pułkowników i wyższych oficerów dążyła pieszo do meczetu. Przez jego boczne schody pokryte suknem sułtan wszedł do wnętrza świątyni dla odprawienia modłów urzędowych. Po niedługim czasie cały orszak powrócił znów do pałacu. Tłumy rozeszły się w różne strony. I ja z Ma też pośpieszyliśmy dorożką do magazynu naszego, gdzie spożyłem obiad złożony z wędliny, owoców i szklanki kawy. Pan Juljan i Hamparzum wyszli potem kolejno jak zwykle na swój obiad na miasto.

Prócz różnych nabywców towaru w naszym magazynie weszła owego dnia popołudniu jakaś dewotka czarno ubrana, z długim różańcem w ręku. Kupiła małą maszynkę do kawy, usiadła na krześle i zaczęła lamentować przed nami. Żaliła się, że musiała wyjechać na kilka tygodni do krewnych, a mieszkanie w klasztorze najmowane zostawiła pod nadzorem znajomego mnicha, któremu pod opiekę oddała też swego ulubionego kota, dla jakiego na żywność dała mnichowi kilka medżydji.

— Wyobraźcie sobie moi panowie, mówiła, wracam ja do domu, a mego kota niema wcale. Ten mnich znajomy zamiast żywić mojego kociusia wypuśćił go przez okno na dach. Tłomaczył się, że kot w marcu usłyszał miauczenie kocic, i sam wyrwał się do nich gwałtem. Za moje pieniądze kupiły mnichy wina i spiły się niecnoty. A żeby ich choroba! — sierdziła się dewotka.

Pocieszaliśmy ją, że kotek, pobawiwszy się z kotkami, może wróci do domu. Ale biedaczka rozpłakała się i klęła jeszcze bardziej mnichów.

Największy pokup, jak to już wyżej wspominałem, w naszym sklepie był na tace i na serwisy czyli zastawy do kawy, które nabywali głównie tubylcy orjentale: grecy, armeńczycy i turcy. Europejczycy zaopatrywali się przeważnie w stućce i zastawy obiadowe, a duchowni różnych wyznań w przybory kościelne.

Dla ożywienia ruchu i sprzedaży wyrobów naszej fabryki kazałem wydrukować noty rachunkowe, formatu karty pocztowej, z firmą, adresem magazynu i krótkiem objaśnieniem o rodzaju naszych wyrobów, a to w różnych językach używanych potocznie w Konstantynopolu, t. j. w tureckim, nowogreckim, armeńskim, francuskim, rosyjskim i polskim. Karty owe w ilości paru tysięcy egzemplarzy rozesłałem w mieście i pocztą na prowincję: hotelom, kawiarniom, restauracjom, kupcom oraz biurom rządowym i prywatnym.

Jednego dnia zrana przyszedł do naszego magazynu człowiek poważny, w średnim wieku, o twarzy zbolałej i przygnębiony bardzo, ubrany przyzwoicie. Poprosiłem go spocząć i zapytałem go czem mogę mu służyć. Opowiedział mi że nazywa się Kukowski, jest wygnańcem, bo rząd niemiecki coraz bardziej ruguje polaków. Miał w Poznaniu z dawien dawna dom i sklep kolonjalny zaopatrzony obficie w towar. Nagle otrzymał rozkaz opuszczenia kraju w ciągu dni ośmiu. Musiał wszystko sprzedać za bezcen. Wyjechał najprzód do Krakowa, potem do Lwowa, wreszcie do Bukaresztu. Wszędzie rodacy radzili mu jechać dalej na Wschód, gdzie jako kupiec fachowy z kapitałem, najkorzystniej będzie mógł prowadzić interesy handlowe. Ale wszędzie tylko smutne zawody go spotykały, i już znaczną część swych funduszów stracił naprózno w tej podróży beznadziejnej. Doradziłem mu udać się do prezesa miejscowego „Towarzystwa polskiego bratniej pomocy". A narazie dałem mu warunkowo za gotówkę z rabatem partję naszego towaru za paręset franków przeważnie łyżek, łyżeczek, noży, widelcy i t. p. pomniejszych przedmiotów celem sprzedaży w Skutari największem przedmieści Stambułu na brzegu azjatyckim Bosforu. Po paru dniach jednak zwrócił nam większą część komisu niewiele sprzedawszy w kawiarni greckiej, gdzie się ulokował. Na moją prośbę prezes Towarzystwa bratniej pomocy p. Michałowski obiecał wystarać się dlań o jaką posadę lub zajęcie. Takich jak Kukowski nieszczęsnych wygnańców były podówczas tysiące — bo podły Bismark bezlitośnie rugował masowo polaków z Poznańskiego i Pomorza przeszło 30,000. Oburzenie wśród emigracji polskiej w Carogrodzie było podówczas niezmierne.

W dalszym ciągu wycieczek moich z Ma zwiedzaliśmy kolejno wybrzeża europejskie Bosforu. Jak zwykle w niedzielę lub

święto po wczesnem pierwszem śniadaniu w domu, z pakietem żywności na cały dzień, szliśmy do głównego mostu na Złotym Rogu, tam bowiem mają swe ambarkadery wszystkie parowce kursujące po całym Bosforze i Morzu Marmara. Parowce tureckiego towarzystwa żeglugi „Szirket-i-Hairje" kursujące wzdłuż brzegu europejskiego Bosforu, mają na szczycie masztu flagę zieloną, zaś kursujące wzdłuż brzegu azjatyckiego flagę czerwoną; nieliczne parowce idące w zygzak między obu brzegami dwukolorową zielono-czerwoną. Statki owe płyną z szybkością 5 minut kilometr wgórę Bosforu, zaś wdół z biegiem wody nieco prędzej. Za pałacem Cziragan i przedmieściem Ortakiej z pięknym meczetem, które już poznaliśmy poprzednio, miejscowości następne Kuru-Czesme (cz. Wyschłe Źródło), i Arnautkiej nie przedstawiają nic osobliwego. Dopiero piękna zatoka Bebeku przy wzgórzu uwieńczonem ogrodami i gajami jest bardzo malownicza. Przedmieście Bebek, zbudowane na wyniosłych pochyłościach w amfiteatr, zamieszkałe jest przez greków i armeńczyków, którzy mają tu liczne sklepy, kawiarnie i restauracje. Imponujący jest tu gmach Robert-Collège, liceum założonego w roku 1863 przez bogatego amerykanina. Także gmach Szkoły francuzkiej prowadzonej pod kierownictwem księży Lazarystów. Ongi leżała tu starożytna osada grecka Chephae z świątynią Artemidy.

Dopływając do przystani Bebeku parowiec omija przylądek Akindi-Burnu czyli Djabelski. Tutaj prąd wód Bosforu bardzo wąskiego jest nader gwałtowny. Grecy zwią go Mega reuma czyli Wielki prąd. Stojąc tam na skraju przylądka na ciosowych kamieniach bulwaru, i patrząc dłużej na szalony pęd wód przeźroczystych, dostaje się zawrotu głowy, i natychmiast cofnąć się trzeba by nie runąć w niebezpieczną toń, w którą ciągnie jakby niewidzialna szatańska siła.

Po krótkim wypoczynku w kawiarni nadbrzeżnej, poszliśmy dalej bulwarem do małego cmentarza tureckiego, ciągnącego się od brzegu Bosforu wgórę. Ocieniają go stare cyprysy i wspaniałe nagrobki z wielkich płyt marmuru, zdobnych w złociste ornamenty i napisy tureckie, na barwnem tle pąsowem i szafirowem. Pochowani tu zostali pierwsi zdobywcy tego skrawka wybrzeża europejskiego, którzy polegli na rok przed oblężeniem Konstantynopola przez Mahometa II roku 1452. Potężny ten władca jednocześnie rozkazał na stromych skałach wznoszących się obok zbudować wielką warownię zwaną Rumili-Hissar (cz. Zamek Rumelji) naprzeciwko warowni Anatoli-Hissar (cz. Zamku Anatolji) wznoszącej się na azjatyckim brzegu Bosforu. Budowę pod kierunkiem licznych dozorców i architektów wykonało szybko tysiąc murarzy i robotników w ciągu trzech miesięcy 1452 roku. Zamek składa się z trzech ogromnych wieżyc i paru mniejszych, połączonych z sobą murami grubemi na 10 metrów, wyzębianemi. ze schodami i platformami od wewnątrz. Ustawiono tam zaraz ciężkie armaty, mogące miotać na Bosfór wielkie kule kamienne,

dla przecięcia przepływu statków przez wąską w tem miejscu cieśninę.

Dziś z potężnej warowni ostały się tylko wspaniałe malownicze ruiny, porosłe zielskiem, kwieciem i krzewiną, gdzie jastrzębie i inne ptactwo dzikie ściele sobie gniazda. W cieniu tych ruin w południe gorące spoczęliśmy z Ma na miękiej mórawie, dla spożycia obiadu wziętego w pakiecie, złożonego z mięsiwa zimnego, chleba, wina Xanti i wybornych owoców. Ma z kwiatów barwnych i gałązek lauru zrobiła wielki bukiet i powoli wieczorem o chłodzie ze szczytu skał zeszliśmy znów do przystani nadmorskiej. W kawiarni tureckiej na bulwarze przy czarnej kawie długo jeszcze rozkoszowaliśmy się czarownym krajobrazem azjatyckiego wybrzeża Bosforu i malowniczych białych murów Anadoli-Hissar tonących w bujnej zieleni wiosennej. Ponad niemi przed zachodem słońca na ciemnem tle chmur sinych zabłysnął na niebie przecudny barwny łuk tęczy. Ostatni parowiec wieczorny zabrał nas wkrótce do Stambułu.

W magazynie naszym wiosną panował miły chłód a w południe ciepło umiarkowane, powietrze czyste przez drzwi otwarte wiało z ulic skrapianych od czasu do czasu deszczem ulewnym. Z bramy kolei Tunelu płynęły co kilkanaście minut liczne rzesze pasażerów dążących z portu Galaty na Wielką ulicę Pery, lub wracających na dół na bulwary nadmorskie Złotego Rogu i przez wielki most do Stambułu.

Wieczorami w dnie powszednie słotne, pracowałem gorliwie nad dalszym ciągiem mojej Historji Dziennikarstwa, której tom I już ukończyłem i wziąłem się do II-go znacznie obszerniejszego.

Zielone świątki 29 i 30 maja 1887 r. w niedzielę i poniedziałek były pogodne i gorące. To też korzystając z dwóch dni świąt wolnych od pracy w magazynie wybrałem się z Ma do Terapji, ślicznej miejscowości na europejskim brzegu Bosforu. Jak zwykle, wstawszy wcześnie, zaraz po śniadaniu domowem, z pakietem żywności obfitej, wyruszyliśmy z przystani przy pierwszym moście Złotego Rogu. Duży parowiec, pełen pasażerów przeróżnej narodowości w kapeluszach i czerwonych fezach, a w oddziale damskim wtyle turczynek zawoalowanych muślinem i gazą przeźroczystą, w feredżach różnobarwnych — wyruszył zwolna wgórę Bosforu czyli ku Morzu Czarnemu. Szybko przesuwały się przed nami znane już dawniej przedmieście Galaty, Pery, pałace Dolma-Bagcze, Cziragan, Ildiz-Kiosk i gmachy ambasad wspaniałe. Parowiec w małych przystaniach nadbrzeżnych krótko się zatrzymywał dla zabrania nowych pasażerów i wysadzania miejscowych. Nieco dłużej w przystaniach większych Bebeku i Rumili-Hissar. Niebawem minęliśmy też pomniejsze przedmieścia stolicy następne: Balta-Liman, Bojadżi-Kiej, Emirgian z pięknym pałacem b. wicekróla Egiptu Izmaila-paszy, Steńję i Jeni-Kiej (cz. Nową Wieś). Parowiec nasz, minąwszy

wąską gardziel Bosforu średniego, wjechał w szeroką zatokę Terapji, otoczoną wokół wysokiemi wzgórzami. Ludne to przedmieście Konstantynopola liczy około 5000 mieszkańców, przeważnie greków. Zabudowane jest bogato, począwszy od bulwarów nadmorskich, gdzie wznoszą się wielopiętrowe wąskie domy, aż do świetnych letnich pałaców ambasad i willi rozrzuconych na pochyłościach wzgórz, wśród bujnych ogrodów i zieleni wiośnianej. Na wybrzeżu morskiem imponują pałace letnie ambasad niemieckiej, francuskiej i angielskiej.

Wysiedliśmy w przystani pełnej ruchu i życia, szalup żaglowych, kaików wiosłowych i parowców przybrzeżnych. Podążyliśmy zaraz bulwarem nadmorskim za park kwiecisty ambasady niemieckiej otoczony tylko drutem kolczastym, pod sąsiednie stare mury ogrodu pustego wznoszącego sie wgórę na terasie skalistym. W cieniu platanów odwiecznych, cyprysów i lip rozłożystych, na miękiej bujnej mórawie, wsród dzikiego kwiecia, rozłożyliśmy się wygodnie. Pusto tam było i zacisznie nikt nam nie przeszkadzał. Po przejrzeniu świeżych gazet kupionych na parowcu i krótkim wypoczynku, zeszliśmy na pobliskie wybrzeże pokryte żwirem drobnym, gdzie znalazłem małą kabinę z desek szarych do kąpieli morskiej. Ma spoczęła na pobliskiej ławce kamiennej. Pusto było wokoło. Przez otwarte drzwi kabiny wszedłem do wnętrza. Rozebrałem sie szybko,wieszając suknie na dużych gwoździach wbitych rzędem w ścianę. Zahaczyłem drzwi od wewnątrz, wykąpałem się przepysznie w wodzie niegłębokiej po pas sięgającej. Mała ławeczka i wąska czysta podłoga pozwoliła mi ubrać się wygodnie. Wróciłem do Ma i zachęciłem by poszła za moim przykładem. A tymczasem zasiadłem na ławce kamiennej z pakietem żywności na straży. Wkrótce i Ma orzeźwiona tą pierwszą kąpielą wiosenną wyszła z kabiny. Nie widząc żadnego stróża ani dozorcy tej kąpieli, poszliśmy zwolna dalej wybrzeżem aż do ujścia rzeczki zwanej Krio Nero czyli Zimna Woda płynącej przez Tarapję. Wąską cienistą doliną dostaliśmy się na łąkę za miastem leżącą. W cieniu platanów rozłożyliśmy się wygodnie. Ma rozwinęła nasz pakiet. Na arkuszach papieru białego zamiast serwety ułożyła świeże bułki, masło, ser, mięso, wędliny, musztardę, sól, owoce, butelkę wina, szklanki, łyżeczki, noże i widelce. Obiad był królewski, apetyt po kąpieli i spacerze wilczy, więc z naszych zapasów niewiele zostało. Na maszynce spirytusowej zaparzyłem herbatę z pomarańczami i cukrem miałkim na deser.

Niebawem ścieżką boczną zbliżyło się do nas kilka białych owiec z jagniątkami i pastuszek turecki, otaczając nas wkoło i patrząc z podziwem na gości obcych. Pastuszkowi dałem dużą pomarańczę, podziękował grzecznie i wkrótce popędził swoje stado na pastwisko.

Ma wzięła szklanki i łyżeczki, by je opłukać nad brzegiem rzeczki, gdy nagle usłyszałem okrzyk: „Krab! krab okropny!!"

Pobiegłem i uspokoiłem Ma, że niema się czego obawiać, bo jestto ładne zwierzątko, które sobie płynie najniewinniej tam gdzie mu potrzeba. Przypomniał mi się zaraz przestrach Ma w Nicei, gdy poraz pierwszy ujrzała burego kraba na dnie naszej łodzi, i omal jej nie wywróciła odskakując na sam brzeg ławki. Ale cóż? są ludzie, którzy boją się bardziej myszy niż słonia!

Późnym wieczorem o zachodzie słońca, zawinąwszy resztki naszej żywności w mały pakiet, wróciliśmy na wybrzeże morskie Terapji. W restauracji greckiej na bulwarze podano nam na kolację rybki smażone, piwo wiedeńskie, owoce i czarną kawę.

Należność zapłaciłem w bufecie i poprosiłem o pokój na jedną dobę. Kelner zaprowadził nas zaraz na I piętro, do ładnego pokoiku, z oknem wychodzącem na ogród owocowy, zapalił świece i przyniósł świeżej wody. Nazajutrz słońce zbudziło nas wcześnie. Po kawie białej ze świeżem pieczywem na śniadanie w naszej restauracji, kupiłem parę nowych gazet, potem podrodze kilka bułek, sera owczego i zapas owoców. Na całodzienną wycieczkę poszliśmy wgłąb ślicznej doliny Krio Nero aż do jej źródeł, doliną ciągnącą się wpośród bujnych ogrodów kwiecistych, pięknych willi i domków wiejskich. Na drugie śniadanie dostaliśmy parę szklanek świeżego mleka. Po dłuższym wypoczynku przy źródle rzeczki, wróciliśmy powoli na obiad do naszej restauracji. Zapłaciłem rachunek za pokój i zaraz potem wyruszyliśmy bulwarem nadmorskim do przystani parowców. Ruch spacerowy świąteczny był ożywiony niezwykle. Na szerokim Bosforze mijały się wielkie parowce i żaglowce handlowe płynące z Morza czarnego na południe i z Marmara na północ. Ostatnim parowcem wieczornym powróciliśmy szybko z biegiem wody do mostu Złotego Rogu i koleją Tunelu do domu na herbatę.

Nazajutrz we wtorek rano o godz. 8-ej, po dwudniowym świątecznym wypoczynku wzięliśmy się w naszym magazynie raźno do dalszej pracy. Ze skrzyń przysłanych z Warszawy wydobyliśmy nowe zapasy towaru. Po sprawdzeniu faktur przeze mnie i zaksięgowaniu wszystkiego w Inwentarzu, pan Juljan zmienił wszystkie wystawy w oknach nowościami. Służący Hamparzum oczyszczał starannie kredą i spirytusem sztuki towaru wyjęte z okien i ustawiał w szafach podręcznych grupami. Piękne okazy tac ozdobnie giloszowanych, nadesłane w miejsce wyprzedanych, zwracały ogólną uwagę i znajdowały chętnych nabywców.

Na początku czerwca 1887 r., w sobotę wieczorem, wszedł do naszego magazynu wysoki tęgi pan w średnim wieku, czarno ubrany, w czerwonym fezie na głowie, ciemnowłosy z brodą w szpic przyciętą. Był to syn i spadkobierca zmarłego w r. 1873 w Warszawie Józefa Ungra, założyciela „Tygodnika ilustrowanego" i wielkiej drukarni, p. Gracjan Unger-Jeżyński. Jako dawny mój znajomy powitał mię serdecznie. Uprzejmie prosiłem

go spocząć. Opowiedział, że przybył z Batumu, zwiedził Kaukaz by poznać bliżej najpiękniejsze kobiety rasy białej w Gruzji i Armenji, że obejrzał już cały Konstantynopol podczas dnia, a teraz pragnąłby jeszcze zbadać bliżej życie nocne stolicy nadbosforskiej. Prosił więc, abym mu towarzyszył i był przewodnikiem. Odpowiedziałem, że dla mnie jest to równie jak dla niego „terra incognita", gdyż przy ciągłej pracy wcześnie wstając i kładąc się spać, nie miałem poprostu czasu na to. Lecz ponieważ badałem już nieco tę sprawę statystycznie i z opowiadań rodaków miejscowych, ze względu na ohydny handel żywym towarem ludzkim i na wywóz dziewcząt mianowicie z Polski do lupanarów Carogrodu, to chętnie zrobię wycieczkę nocną, by poznać bliżej ten świat tajemniczy.

Po zamknięciu naszego magazynu, zaprosiłem p. Ungra Jeżyńskiego do domu na herbatę. Ma, rada miłej wizycie, przygotowała wzzystko jak zwykle i wystąpiła z całą gościnnością. Podczas kolacji po toastach na cześć rodaka z Polski, objaśniłem naszego gościa, że do Stambułu nie udamy się jako zamieszkałego przeważnie przez mahometan, wśród których prawie wcale niema prostytucji publicznej z powodu wielożeństwa. Tam bowiem nadmiar ilościowy kobiet znajduje stałe zajęcie w służbie domowej i w licznych haremach bogaczów. W Stambule jest wprawdzie parę wielkich domów rozpusty, utrzymywanych przez persów, ale wstęp dla europejczyków jest tam niełatwy, i możliwy tylko przez znajomość ze stałymi gośćmi muzułmanami. Domy owe stanowią rodzaj haremów w połączeniu z łaźniami i kąpielami. Zatrudniają po 80 do 100 młodych niewolnic różnej rasy, i są strzeżone przez eunuchów. Odwiedzane przeważnie przez oficerów tureckich mahometan, dla nich służą przeważnie. Najpiękniejsze dziewczęta wieczorem, w obszernych salach wysłanych dywanami, zabawiają tam gości swych śpiewem, tańcami orjentalnemi, a zwłaszcza namiętnym tańcem brzucha, przy akompanjamencie fletów, gitar i tamburów z dzwonkami. Opowiadał mi o tem młody oficer gwardji sułtana, syn Sadyka-paszy Czajkowskiego Sadyk-bey, który odwiedził mię niedawno w naszym magazynie.

Po kolacji objaśniłem Ma o zamierzonej wycieczce na miasto i pożegnawszy się na dobranoc, włożyłem czerwony fez na głowę, buldog nabity do kieszeni, i udałem się z p. Ungrem Jeżyńskim na dworzec kolei Tunelu, by zjechać szybko na wybrzeża portowe Galaty. Tam ruch nocny wiosenny, podobnie jak w innych miastach portowych Wschodu, na bulwarach nadmorskich w Smirnie, Aleksandrji i in., był już bardzo ożywiony. Całe gromady marynarzy różnych narodowości, przybyłych ze wszystkich części świata, snuły się z głośnym śpiewem, wpośród wielkich kawiarni i kabaretów oświetlonych rzęsiście. Przytłumiona kakofonja cygańskich orkiestr wydostawała się na gwarne ulice przez okna uchylone i drzwi poroztwierane dla gości noc-

nych. Tu i owdzie przechadzały się na wabika jaskrawo ubrane dziewki z cekinami w uszach i na obnażonych piersiach, odpowiadając głośnym śmiechem i ordynarnemi krzykami na gburowate zaczepki pijaków. Przechodzące zwolna patrole policji utrzymywały porządek i uciszały zbyt hałaśliwe wybryki.

Po krótkim wypoczynku w głównym kabarecie p. Unger-Jeżyński kazał podać dwie szklanki wina greckiego. Wysłuchaliśmy parę kupletów włoskich i angielskich, zostaliśmy jeszcze chwilę na ekscentrycznym tańcu bosonogich baletnic francuskich oraz tańcu brzucha wykonanym przez bajaderę hinduską z wyuzdanym ogniem, przy dzikich dźwiękach orkiestry arabskiej.

Według opowiadań bywalców nocnych zakładów tego rodzaju, gdyby przykryć wielkim dachem wybrzeża Galaty i wiodącą od nich w górę spadzistą ulicę Juksek-kaldirim, dalej Wielką ulicę Pery, Pankaldi i Szyszli z bocznemi zaułkami oraz przyległem greckiem przedmieściem Tatavola — to stanowiłoby jeden olbrzymi dom publiczny rozpusty. Z Galaty, nie tracąc czasu, wyruszyliśmy w dalszą naszą drogę pochyłą ulicą Juksek-kaldirim. Z przyległych bocznych uliczek przez zasłonięte okna wysokich domów dochodziły nas przytłumione odgłosy muzyki i śpiewek. Na chodnikach stały i siedziały na niskich taboretach kapłanki Wenery, paląc papierosy i gwarząc wesoło. Nie zważając na przesyłane nam ręką głośne pocałunki tych dziewic, dotarliśmy wkrótce do Placu Tunelu, skąd skręciłem w małą boczną ulicę. Tam bowiem, poszukując mieszkania zaraz po przybyciu do Konstantynopola, natrafiłem przypadkiem na idealną złotowłosą piękność godną bliższego poznania. Na czarnych drzwiach żelaznych wąskiego domu trzypiętrowego jak dawniej wisiała mała szara tabliczka z napisem francuskim „Apartament a louer". Zakołatałem lekko antabą brązową. Przez dolne okno obok drzwi zza kraty grubej żelaznej wyjrzała na nas czarna twarz murzynki i znikła za roletą. Wkrótce drzwi się otwarły. W dużym przedsionku oświetlonym amplą wiszącą u sufitu, tęgi stary murzyn odebrał od nas laski, palta letnie, i poprowadził nas po schodach wysłanych miękkim chodnikiem na I piętro do salonu przyjęć, tonącego w półmroku. Naprzeciwko drzwi wchodowych, na szerokiej otomanie okrytej miękkim dywanem pąsowym, oparta na grubych poduszkach, napół leżąc niedbale, spoczywała nimfa złotowłosa naga prawie cała, w różowych pantofelkach z dużemi pomponami srebrnemi, długim sznurem pereł na szyi i przezroczystą feredżą na ramionach. Trzymała dymiący papieros w prawej ręce, a książkę otwartą w lewej. Powitała nas poprawną francuszczyzną i poprosiła spocząć. Murzynka podsunęła nam do otomany dwa taborety i niski stolik z butelką szampana, trzema kraterami i pudłem papierosów, nalała wino, a p. Unger-Jeżyński wzniósł toast na cześć pani domu. Ta zwracając się do mnie wspomniała, że już raz byłem w jej domu, szukając mieszkania.

— Tak, odrzekłem, ale nie czułem się godzien wstąpić znów do przybytku twego, o pani! Teraz przyjaciel mój, przybyły zdaleka nad Bosfor, zapragnął złożyć hołd twej boskiej piękności...

Wstała powoli, wlokąc długi płaszcz za sobą, wstąpiła na schody wiodące na wyższe piętro. Jej fioletowe oczy zajaśniały blaskiem ametystu, rozkoszny uśmiech zaigrał na ustach karminowych, ukazując dwa rzędy perłowych ząbków. Przeciągnęła się niedbale przeginając się wtył, a jej pełne piersi zajaśniały białością kości słoniowej, ukazując dwie różowe jagody słodyczy pełne. Skinęła na mego towarzysza i oboje zniknęli za ciężką kotarą...

Murzynka dolała mi wina i podała do palenia nargil, za który podziękowałem, mówiąc, że wcale nie palę, co ją bardzo zdziwiło. I rzekłem po turecku:

— Czok gizel hanum efendim (bardzo piękna pani wasza).

— Ewet, czelebi! (tak jasny panie).

Popijając wybornego szampana, przeglądałem najnowsze żurnale mód paryskich, rozrzucone na stole okrągłym pod lampą wiszącą, oraz świeże romanse francuskie w jaskrawych okładkach z kartami już rozciętemi.

Niebawem rozsunęła się górna portjera, i powoli zeszedł do mnie p. Unger-Jeżyński rozpromieniony. Wsunął murzynce w rękę parę sztuk złota i zaraz zeszliśmy nadół, gdzie murzyn podał nam palta, laski, za co dostał też hojny bakszisz.

Nie tracąc czasu ruszyliśmy dalej przez Wielką ulicę Pery, wprost na jej północne przedmieście Tatavolę, zamieszkałe przeważnie przez greków, a przepełnione domami rozpusty. I tu mnóstwo dziewek snuło się po ulicach, lub wyglądało z okien, paląc papierosy. Tu i owdzie słychać było w większych lokalach tanecznych muzykę przytłumioną zasłonami w oknach, i śpiewy przy akompanjamencie gitar lub mandolin.

Nie zatrzymując się nigdzie, minęliśmy sąsiednie przedmieście greckie San-Dimitri i skierowaliśmy się ku końcowej stacji głównej tramwajów na Sziszli. Przechodząc przez pustej plac koło starego muru wielkiego ogrodu, spotkaliśmy jakąś czarną postać idącą powolnym krokiem ku nam. Twarz jej zasłaniał brzeg płaszcza po same oczy, które błyszczały w świetle dalekiej latarni jak dwa czarne diamenty. Wokół było pusto i cicho. Zbliżywszy się do nas odchyliła brzeg płaszcza i ukazała białą pierś roskoszną...

— Jestem Helena, kapłanka Astarty bóstwa miłości, przemówiła po grecku, a zwracając się ku mnie, dodała zcicha: Pana znam z miasta przez okna wielkiego składu sreber, koło którego przechodzę czasem... Ale gdzież to włóczycie się po tych pustkowiach nocą? — i nie czekając naszej odpowiedzi, wzięła mię za rękę, mówiąc — kiedy już zaszliście tutaj, to poprowadzę was do naszej tajnej świątyni...

W murze, osłoniętym bujnemi krzewami, nacisnęła ukryty zamek małej furty żelaznej, która otwarła się zaraz. Weszliśmy w ciemną aleję starych drzew. Kapłanka zamknęła starannie furtę i poprowadziła nas dalej powoli. Chmury odsłoniły nieco księżyc. W jego bladem świetle wpośród rozłożystych platanów i wonnych krzewów róż ujrzeliśmy szarą kolumnadę niskiego budynku. Tu przewodniczka nasza wymówiła półgłosem jakiś wyraz tajemniczy. Wąskie drzwi portalu rozwarły się same i cicho weszliśmy wszyscy wgłąb ciemnego przedsionka. Atletyczny odźwierny podniósł w górę wielką płytę kamienną w posadzce. Przewodniczka nasza sprowadziła nas po schodach głęboko pod ziemię do olbrzymiej sali niskiej, ze sklepieniami wspartemi na grubych kolumnach kamiennych. Podziemie to, słabo oświetlone lampami skrytemi, wyglądało jakby jakaś wielka cysterna starożytna dawno wyschnięta. Pod kolumnami i ścianami szaremi stało i leżało na ziemi mnóstwo czarnych postaci odzianych w długie płaszcze mężczyzn i kobiet, nucących cicho jakiś monotonny hymn...

Przewodniczka nasza zaprowadziła nas naprawo w kąt sali do obszernej niszy bocznej, wysłanej miękkim dywanem.

— Spocznijcie tu chwilę, ja zaraz powrócę...

Wkrótce przyniosła dwie czary kryształowe i z dużej amfory nalała nam gorącego wina aromatycznego.

— Po uroczystości przyjdę tu i wyprowadzę was na świat, rzekła, wrazie potrzeby klaśnijcie w dłonie i zawołajcie mię po imieniu, a zjawię się natychmiast.

Powoli ułożyliśmy się wygodnie na miękkim dywanie pod ścianą i milcząc zapijaliśmy wyborne wonne wino potrochu.

Śpiewy na sali intonowano coraz głośniej. Z głębi podziemia słychać było zbliżające się łagodne tony fletów i chór dźwięcznych głosów. Na salę wszedł korowód młodych dziewcząt nagich, uwieńczonych białemi liljami i zaczął tan przedziwny. Światło rosło stopniowo i nagle w głębi jakby na wielkim ołtarzu zabłysła jasność wielka, a wśród niej ukazała się w olśniewającej białej szacie przeźroczej czarowna postać przepięknej bogini. Chór tancerek i wszyscy obecni padłszy na kolana oddali jej hołd głęboki. Światłość zgasła — bóstwo znikło... Tylko dźwięki muzyki i śpiewu rosły znów stopniowo w coraz dzikszem tempie. I zwolna zakotłował się tan szalony wyuzdany z kobietami nagiemi. Omdlewające pary kładły się pod ścianami, dysząc namiętnie w uściskach...

Wkrótce zjawiła się też nasza piękna przewodniczka. Towarzysz mój włożył w swoją kryształową czarę kilka sztuk złota, ja parę sztuk srebra i poprosiliśmy o powrót do domu. Helena tą samą drogą, którą weszliśmy, wyprowadziła nas przez cienistą aleję do furty w murze ogrodowym, i odsłaniając swoją śnieżną pierś na pożegnanie wypuściła nas na plac pusty.

Różowy świt na błękitnem niebie jaśniał już nad szmaragdowym Bosforem. Powoli, orzeźwieni chłodnym powiewem poranka, zwróciliśmy się ku głównej stacji tramwajów na przedmieściu Sziszli. W kawiarni tureckiej zasiedliśmy wygodnie na niskiej otomanie pod ścianą. Kazałem podać dwie czarki kawy gorącej i zapijając zwolna, objaśniałem p. Ungra-Jeżyńskiego, że przeżytki starożytnych kultów pogańskich na Wschodzie spotykają się dotąd tu i owdzie, w tajemniczych jaskiniach Libanu, w podziemiach ruin starych i niektórych domach rozpusty. Mianowicie kult Astarty, córy boga Sin czyli Księżyca, z Babilonu i Asyrji rozszerzył się daleko przez Fenicję do Kartaginy. Nad Bosforem w ruinach starych znaleziono kamienie z napisem imienia Astarty, późniejszej greckiej dziewiczej Afrodyty, w których kult przerodził się z czasem w roskoszne orgje...

Po czarnej kawie wyszliśmy na ulicę. Zawołałem dwóch begirdżi czyli koniarzy, wsiedliśmy na ładne wierzchowce osiodłane wygodnie, i wyciągniętym kłusem ruszyliśmy przez Pankaldi na Perę. Pan Unger-Jeżyński zsiadł przed „Hotelem angielskim", za jazdę zapłaciłem begirdżim i pożegnałem rodaka. Dziękując mi za towarzystwo i za rozkoszną noc nadbosforską, rzekł iż idzie zaraz spać, a wieczór wyjedzie parowcem „Czichaczew" przez Odessę do Warszawy.

— Więc do widzenia! rzekłem, może znów tam spotkamy się jeszcze!

Powoli pieszo doszedłem na pobliską ulicę Bujuk-Hendek do domu. Otworzyłem sobie drzwi drugim kluczykiem od zatrzasku. W półmroku, przy zasłoniętych roletach, zastałem Ma jeszcze śpiącą. Rozebrałem się pocichu i ułożyłem wygodnie. Ma roztwarła zdziwione oczy i biorąc mnie ostro za ucho zawołała.

— A urwisy jakieś, mów zaraz coście całą noc robili?

— A nic! piliśmy dobre wino, czarną kawę i oglądaliśmy różne dziwy z tysiąca i jednej nocy! Teraz prześpię się trochę, a po śniadaniu pojedziemy zaraz w cudną dolinę Bujuk-Dere. Jeszcześmy tam nie byli, zobaczysz jak tam rozkosznie....

Niedziela 5 czerwca 1887 r. była ciepła i pogodna. Po śniadaniu o godzinie 10, Ma przygotowała duży pakiet na naszą wycieczkę, owinięty w gruby papier i mocny szpagat.

Koleją żelazną Tunelu zjechaliśmy szybko na Galatę, a potem pierwszym parowcem przybrzeżnym ruszyliśmy wkrótce na Bosfor. Za Terapją cieśnina rozszerza się znacznie i tworzy przepiękną zatokę osłoniętą od północy pasmem wzgórz Kabatasz (250 m. n. poziom morza). Na ich pochyłościach, wpośród bujnych ogrodów mnóstwo willi otacza wieńcem miasteczko Bujuk-Dere t. zw. Wielkiej Doliny, przez którą płynie bystra rzeczka Kastane-su (Kasztanowa woda) o kamienistem łożysku z głazami pokrytemi jakby rdzą rudą. Nad szerokiem wybrzeżem panuje świetny pałac letni ambasady Rosji, otoczony wielkim parkiem. Ambasady Austrji i Stanów Zjednoczonych Ameryki mają

tu również swoje letnie pałace. Przedmieście to zamieszkałe jest przeważnie przez greków i armeńczyków. W sezonie letnim zaludnia się liczną kolonją europejską. Bogaci kupcy i bankierzy konstantynopolscy mają tu własne wille i domy wpośród pięknych ogrodów. Naprzeciwko na azjatyckim brzegu Bosforu piętrzy się na wyniosłem wzgórzu pałac sułtański, ocieniony staremi cyprysami i otoczony małem przedmieściem Bejkos z przystanią parowców. Ruch okrętów przepływających z Morza czarnego i parowców przybrzeżnych jest tu bardzo ożywiony. Mnóstwo też krąży kaików spacerowych, a koniarze wynajmują dobre wierzchowce na wycieczki w głąb, w dolinę Kastane-su oraz do pobliskiego lasu Belgradzkiego, gdzie leżą wielkie wodozbiory źródeł zasilające wodociągi stolicy.

Nie zatrzymując się wcale na wybrzeżu przystani, kupiłem tylko parę świeżych gazet, i poszliśmy zaraz brzegiem rzeczki Kastane-su na piękne łąki otaczające jej ujście, ocienione grupami starych platanów. Według podania miejscowego tu obozowały wojska pierwszych krzyżowców w r. 1096. Największy platan nosi imię sławnego wodza Godefroy de Bouillon. Kolosalny pień utworzyło tu właściwie siedm drzew, które z czasem zrosły się z sobą zupełnie. Z dwóch stron tylko zostało dwa wejścia wąskie do wnętrza pustego. Stary grek utrzymuje tam małą kawiarnię. Dwa stoliczki i parę taboretów, półka drewniana z naczyniami i piecyk żelazny, stanowią tam całe umeblowanie. Grube korzenie rozchodzą się wokoło pnia jak węże olbrzymie, a rozłożyste konary dają szeroki cień chłodny.

Rozłożyliśmy tutaj nasz pakiet z mięsiwem, chlebem, ciastem, winem i owocami. Wkrótce przybiegły do nas trzy cyganiątka, mały chłopiec i dwie dziewczynki zupełnie nagie. Ma poczęstowała ich ciastem i figami, które ze smakiem pozjadały; pobiegły znów do matki, która wpobliżu prała w rzece ich koszulki, i dziękowała nam za poczęstunek dzieci, ukazując w uśmiechu wesołym swoje śliczne białe zęby.

Po spożyciu naszego obiadu wypiliśmy czarną kawę we wnętrzu starego platana, i powędrowaliśmy zaraz dalej wgłąb doliny. Drożynę wiodącą brzegiem południowym Kastane-su ocieniają gęste drzewa na wzgórzach. U źródeł rzeczki napotkaliśmy basen kamienny, do którego ze skały wytryskiwała woda zimna jak lód. Naprzeciwko do pni wielkich drzew przytwierdzone były małe dekoracje teatrzyku, które służyły do przedstawień dramatycznych. Kawiarz turek podał nam taborety słomiane i gorącą kawę czarną z cukrem. Wkrótce nadeszły tam dwie młode damy tureckie, w pięknych feredżach jedwabnych i muślinowych jaszmakach, umyły ręce w basenie źródła i kazały podać sobie kawę. Po dłuższym wypoczynku na zielonej mórawie ruszyliśmy z powrotem do przystani parowców i z biegiem wody szybko przybyiiśmy do miasta. Zaraz po kolacji domowej położyłem się wygodnie, by odespać sobotnią noc bezsenną.

Następnej niedzieli 12 czerwca 1887 r. pogoda była niepewna, w nocy padał deszcz i powietrze ochłodziło się znacznie. Ma była nieco słaba i nie mogła wybrać się na dalszą wycieczkę na kraniec północny Bosforu do Rumili-Kawak, gdzie chciałem poznać bliżej bardzo ciekawe utwory geologiczne. Gdy nieco obeschło, wybrałem się sam, zaraz po śniadaniu wcześnie zrana, z pakietem żywności na cały dzień. Parowiec lewego brzegu Bosforu wkrótce wyruszył w drogę, która pod wodę trwała dosyć długo. Powoli niebo zaczęło się wyjaśniać i przed południem wypogodziło się. Oba brzegi Bosforu europejski i azjatycki na tle fal szmaragdowych roztaczały swój przepych wielobarwny. Bujne ogrody, stare ruiny, wesołe białe przedmieścia, przystanie pełne ruchu i życia, kawiarnie nadbrzeżne, parowce miejscowe i wielkie okręty zamorskie, jachty spacerowe i kaiki przewoźników barwnemi plamami urozmaicały tę scenerję czarowną. Za Bujuk-Dere minęliśmy przylądek Mezar-Burmu z małym cmentarzem tureckim sąsiedniej wioski Sari-Jar, przystań Jeni-Mahalle (Nowej Osady) i pochyłe okopy zielone fortów najeżonych działami ciężkiemi o czarnych paszczach. Dalej sunąc wzdłuż wybrzeży pustych i dzikich, parowiec nasz przybił nareszcie do małej przystani Rumili-Kawak, odległej od Stambułu 24 kilometry, czyli przeszło 3 mile. Przy debarkaderze 17-ym z rzędu, już wpobliżu Morza czarnego, parowiec zatrzymał się nieco dłużej, aby wracając zabrać pasażerów nadchodzących tu z najdalszych wiosek nadbrzeżnych: Bujuk-Limanu, Karibdże i Rumili-Fanaru, gdzie przy wjeździe z morza Czarnego do Bosforu błyszczy biała wysoka latarnia I klasy.

Osada Rumili-Kawak (czyli Topole Europy) leży w cieniu starych drzew u stóp skalistych zboczy góry Kara-tasz (Czarna-góra, po grecku Mawromolo), na której szczycie sterczą ruiny zamczyska wzniesionego w r. 1682 przez sułtana Murada IV na miejscu, gdzie stało starożytne bizanckie Hieron. Pusto tu i głucho. Tylko jastrzębie krążyły wysoko, a poszarpane obłoki pędził w dal wiatr czarnomorski. Słońce w południe paliło gorąco. Drożyną nadbrzeżną pod stromemi okopami fortu dotarłem powoli do małej doliny kwiecistej, ciągnącej się wgłąb lądu. Przy czarnej skale bazaltowej nad wodą spocząłem na zielonej mórawie. Wąski brzeg morski, pokryty grubym piaskiem szaro-żółtym, błyskał w słońcu drobnemi blaszkami miki jak srebrem. O kilkanaście kroków pod wodą szmaragdową nagi nurek, na pochyłem dnie morskiem wycinał szybko nożem gąbki jak grzyby, i wracał na brzeg, by je wrzucać do kosza i zaczerpnąć powietrza.

Rozebrałem się prędko i wykąpałem roskosznie. Rozwinąłem mój pakiet z popasem, i z wilczym apetytem gryzłem smaczną pieczeń baranią z chlebem, a na deser soczyste wielkie czereśnie. W pobliżu brzegu morskiego, w cieniu rozłożystych platanów, stał samotny szary domek murowany, o dwóch

małych okienkach, pokryty dachówką mchem porosłą. Z otwartych drzwi wyszedł stary turek, niosąc gruby dywanik i poduszkę skórzaną. Pozdrowił mię uprzejmie i zrobił mi w cieniu wygodne posłanie. Poprosiłem go o czarną kawę gorącą, i ułożyłem się wygodnie. Wyjąłem i rozpatrywałem moją mapę geologiczną wybrzeży Bosforu, jaką przerysowałem dokładnie z wielkiego dzieła Czichaczewa p. t. „Geologja Turcji", które pożyczyłem na parę tygodni w księgarni Lorentza i Keila (na Wielkiej ulicy Pery nr. 457) Wkrótce stary kawiarz przyniósł mi na tacy filiżankę kawy, karafkę źródlanej wody i szklankę. Upał był, więc z przyjemnością chłodziłem się świeżą wodą. Wokół zaległa cisza, wsród której wibrował tylko jednostajny szelest mnogich koników polnych.

Według badań Czichaczewa róg lądu, którego wierzchołek stanowi tu latarnia morska Rumili-Fener przy wejściu do cieśniny z Morza czarnego, a ramiona jego wybrzeże aż do Kilji oraz brzeg Bosforu do Rumili-Kawak, po linję łączącą Kawak z Kilją — zalegają stare skały wybuchowe: bazalty, trachity i dioryty. Wybrzeża morskie są tu urwiste, skaliste i niebezpieczne dla statków z powodu raf podwodnych. Taką samą formację przedstawia azjatycki róg lądu pomiędzy Bosforem a Morzem czarnem.

Od Kilji na zachód szeroki pas wybrzeży czarnomorskich zalegają utwory najnowsze plejstocenu czyli czwartorzędowe, t. zw. dyluwjum i aluwjum.

Brzegi Bosforu europejskie od Rumili-Kawaku aż do Złotego Rogu zalegają stare utwory dewońskie w głąb lądu na porzeczu Kiahathane-su czyli t. zw. Słodkich Wód Europy. Tylko koło Bebeku i na północ od Arnaut-kiej sterczą małe wychodnie wybuchowe diorytów. Brzeg azjatycki Bosforu naprzeciwległy zajmują także utwory dewońskie.

Pomiędzy Złotym Rogiem a wybrzeżem morza Marmara na Zachód od Stambułu leżą młodsze utwory trzeciorzędowe mioceńskie, obfitujące w mnóstwo drobnych skamieniałości.

Po wypoczynku u starego kawiarza zapłaciłem mu hojnie za udzieloną mi gościnę w jego miłem ustroniu pod Mawromolo, i zapuściłem się dalej w głąb ślicznej dolinki. Niedaleko za domem kawiarza, pomiędzy staremi cyprysami sterczał samotny olbrzymi grobowiec turecki z czarnego bazaltu. Stanowiła go wielka gruba płyta pozioma z wysoką kolumną uwieńczoną wspaniałym turbanem. Ścieżka wąska wiła się obok dalej aż do końca wąwozu otoczonego skalnemi wzgórzami, za któremi rozpościerało pustkowie płaskie, porośnięte wrzosem. Na chwilę usiadłem na płaskiej skale, by spożyć resztę moich owoców na podwieczorek. Nagle zagrzmiało daleko! Od Zachodu powiał niespokojny podmuch powietrza parnego. Chmury czarne zasłoniły jasne niebo. Błyskawice i grzmoty zbliżały się szybko. Grube krople deszczu poczęły padać powoli. W pobliżu dostrzegłem małą chatę samotną, pospieszyłem pędem schronić się do niej.

Zaledwie dopadłem drzwi otwartych do sieni, aliści ujrzałem przed sobą młodą wieśniaczkę turecką, która wskazując mi ręką szopę obok chaty, błagała, bym do niej nie wchodził, lecz schronił się pod dach szopy. Spełniłem jej prośbę, bo ulewa była już wielka, a wieśniaczka zamknęła szybko drzwi chaty. Niebawem nadbiegł z pola z grabiami na ramieniu gospodarz chaty zmoknięty cały i stanął zdyszany obok mnie. Śmiał się i przepraszał mię, że żona jego nie wpuściła mię do izby, ale u mahometan to już taki obyczaj. Ulewa tymczasem przycichła. Turek poprosił mię do przedsionka domu, podał stołek, i wkrótce przyniósł dwie filiżanki kawy. Burza przeszła, deszcz przestał padać. Podziękowałem uprzejmie za gościnę, wziąłem mój plecak na ramię, kij w rękę i przez puste pastwiska, pośpieszyłem raźno najkrótszą drogą nad Bosfor do Rumili-Kawaku. Kilkanaście ładnych okazów skał zebranych podrodze, owinąwszy w papier, włożyłem do plecaka, i niebawem przybyłem do przystani. Ostatni parowiec wieczorny nadjechał, i wkrótce wyruszył z powrotem do Stambułu. Z biegiem wody podróż trwała niedługo. O zmroku koleją tunelu przybyłem do domu na harbatę, którą Ma przygotowała czekając na mnie z kolacją. Opowiedziałem jej o mojej przygodzie w chacie tureckiej, o nurku zbierającym gąbki na dnie morza, o mojej kąpieli i o burzy niespodzianej. Ma żałowała, że została w domu, więc pocieszałem ją, że na drugą niedzielę pojedziemy znowu w tamte strony na jeszcze piękniejszy brzeg azjatycki Bosforu do Bejkos nad wielką zatokę.

Kąpiele morskie miejscowe na wybrzeżach Galaty, w drewnianych budach, skleconych licho z desek, z poczekalniami ogólnemi i rozbieralniami w szafkach nie odznaczających się czystością były poprostu wstrętne, a nawet niebezpieczne pod względem sanitarnym. Nie było też pewności czy dno kabiny jest mocne i czy nie załamie się pod kąpiącymi. Obejrzałem raz całe to urządzenie i nigdy z niego nie korzystałem.

Ma tęskniła za morzem otwartem i kąpielami na swobodzie. To też wyczekiwała niecierpliwie na naszą nową wycieczkę niedzielną dnia 19-go czerwca 1887 roku. W sobotę wieczór przygotowała pakiet z żywnością całodzienną. W niedzielę raniutko zaraz po śniadaniu pierwszym parowcem przybrzeżnym azjatyckim wyjechaliśmy wprost do Bejkos. Jest to śliczna wieś turecka leżąca w głębi wspaniałej zatoki Bosforu na brzegu azjatyckim u stóp wzgórza, którego szczyt wieńczy letni pałac sułtański z szerokiemi balkonami, otoczony obszernym parkiem. Wzgórza sąsiednie pokryte są winnicami bujnemi, w dolinach olbrzymie drzewa orzecha włoskiego i sady cieniste dostarczają wybornych owoców.

Przystań parowców ostatnia na azjatyckim brzegu Bosforu, odległa jest od Stambułu 18½ kilometra czyli blisko trzy mile. Na północ od Bejkos sterczy wspaniały szczyt Góry olbrzyma

po turecku zwany Jusza-dag (120 metrów n. p. m.) i pasma wzgórz rozchodzących się dalej w głąb lądu z pięknemi dolinami. Od przylądka Fil-burnu brzegi Bosforu aż do latarni morskiej Anadoli-fener i dalej na wschód brzegi Morza czarnego (podobnie jak przeciwlegle brzegi europejskie) pokrywają skały wybuchowe: bazalty, trachity i dioryty. Od tegoż przylądka Fil-burnu w kierunku południowym aż do morza Marmara brzegi azjatyckie Bosforu i dalej w głąb lądu zalegają stare utwory dewońskie przeważnie wapienie szare. (tak samo jak na przeciwległych wybrzeżach europejskich).

W przystani Bejkos kupiliśmy parę świeżych gazet, a w owocarni pobliskiej trochę owoców na deser do naszego obiadu, i ruszyliśmy dalej w stronę południową przez puste wybrzeża ścieżką nadmorską do sąsiedniej wioski tureckiej Indżir-kiej czyli Figowej wsi, zwanej tak od bujnych sadów figowych. W kawiarni tureckiej zrobiliśmy tam mały wypoczynek. Po przejrzeniu naszych gazet, udaliśmy się dalej, na południe do wsi Pasza-Bagcze (cz. Ogródbaszy). Jestto śliczna miejscowość położona na płaskim wybrzeżu Bosforu, u stóp wzgórza skalistego pokrytego bujnym lasem i gęstemi zaroślami. Tu i ówdzie między dębiną na małych polankach sterczą tam wspaniałe sosny parasolowe z szyszkami wielkości pięści, i smagłe cyprysy, niby nasze topole włoskie. Minąwszy wioskę dalej na pustem wybrzeżu dotarliśmy do zdziczałego zupełnie ogrodu, ze śladami dawnej świetności tego roskosznego ustronia. Brzeg stromy Bosforu był tu gładko wyłożony ciosowemi blokami. Środek pustego placu zajmowała mała willa, zupełnie pusta. Jej strona południowa była cała oszklona wielkiemi szybami, jak cieplarnia. Ze skał stromych sąsiedniego wzgórza wytryskała przez kran mosiężny woda źródlana, do starego zbiornika z marmuru obrosłego mchem zielonawym. Za trawnikiem obszernym i kępami dzikich ziół kwitnących barwnie, w południowym kącie ogrodu ocienionym wielkiemi konarami dębów i krzewami leszczyny pomiędzy niskim murem a skałami stromemi — kilka schodków płaskich kamiennych prowadzi do małej zatoki z płytką wodą morską. Zacisznie tam było, pusto i niedostępnie. Przed południem już upał dopiekał. Ma usiadła w cieniu na ławie kamiennej omszałej na straży, tuż przy schodkach kąpielowych. Ja rozebrałem się powoli, i pogrążyłem w przeźroczystej wodzie chłodnej po pas. Przejeżdżający wpobliżu przez Bosfór wielki parowiec rozkołysał fale szerokie, które biły we mnie roskosznie, i pieniły się na stromych skałach wybrzeża. Po kąpieli ubrałem się szybko i usiadłem na kamiennej ławie na straży, aby Ma mogła wykąpać się spokojnie i bezpiecznie...

Na zielonej mórawie, w pośród ziół pachnących kwieciem różnobarwnem, rozłożyliśmy nasz pakiet z popasem. Nalałem dwie szklanki wina greckiego ciemnego i raźno spożywaliśmy nasze zapasy. Niespodziewanie drzwi frontowe willi zaskrzypiały

i otwarły się powoli. Wyszedł z nich starzec wysoki, dziarski wyprostowany po żołniersku, w czapeczce czarnogórskiej czarnej z denkiem czerwonem haftowanem złocisto, w serdaku zielonym z barankami białemi rozpiętym na piersiach, w szarawarach szarych do kolan, w obwijaczach i trzewikach skórzanych. Oblicze miał ogorzałe od słońca, nos orli, wąs zawiesisty siwy, spojrzenie oczu ciemnych łagodne i spokojne. Wolnym krokiem zbliżał się ku nam, niosąc oburącz tacę szeroką drewnianą z karafką wody kryształową, szklankami i trzema filiżankami kawy czarnej.

— Dobry dan Wam, dobro doszli! powitał nas po serbsku.

— Dobry dzień Wam, bracie Czarnogorcu! odpowiedziałem po polsku. I tak dalej, ja pół po polsku, pół z ruska, on po serbsku, rozmawialiśmy rozumiejąc się dobrze. Opowiedział nam, że jest stróżem tego ogrodu i willi, w której mieszka samotny; że widział nas przez okno zasłonięte żaluzją, i słyszał naszą mowę słowiańską, więc przyszedł powitać gości pobratymców i poczęstować kawą i wodą prosto ze źródła. Nalałem trzecią szklankę wina i wzniosłem toast:

— Za wolność i oswobodzenie wszystkich Słowian!

Zaiskrzyły się oczy starcowi. Mimowolnie sięgnął ręką do pasa, jakby szukając szabli ostrej przy boku. Mówił, że jako junak w kraju swym za młodu bronił ojczystych granic Czarnogórza i bił Turków siarczyście, że żona mu potem wkrótce zmarła, więc powędrował do Belgradu za zarobkiem, a potem służył jako kawas zbrojny w pałacu poselstwa serbskiego w Carogrodzie, w końcu został tutaj ogrodnikiem u bogacza starego baszy tureckiego. Po śmierci baszy jego syn oficer turecki odziedziczył cały majątek; przyjechał z Angory, zabrał kosztowności i meble do Stambułu i wcale tu nie zagląda. Owoce wielkiego sadu położonego na wzgórzu sąsiedniem, sprzedaż kwiatów, mleko kilku kóz i drób domowy wystarczyły do życia staremu stróżowi. Poczęstowałem go papierosami, i położyłem na tacy parę monet srebrnych nieznacznie, aby nie odmawiał ich przyjęcia. Pożegnał się z nami serdecznie, zabrał tacę do domu, i życzył przyjemnego spoczynku. Przed wieczorem, po spożyciu reszty naszych owoców, zebraliśmy się powoli do przystani miejscowej, i ostatnim parowcem wróciliśmy szczęśliwie do głównego mostu Stambułu. Stamtąd jak zwykle koleją Tunelu na herbatę do domu.

Ma tak podobał się dziki park Pasza-Bagcze i zaciszna kąpiel morska, że prosiła mię, aby tam znów kiedy wybrać się niedługo, przyobiecałem jej to najchętniej. Przemiłe bo były te nasze wycieczki i wędrówki po czarownych wybrzeżach Bosforu. Zwłaszcza po ich ustroniach pół dzikich, odludnych i zacisznych.

Dziś gdy piszę te kartki w Kielcach (też w czerwcu 1926 r.) w moim również zacisznym gabinecie, siedząc w wygodnym fotelu przy oknie wychodzącym na bujny sad drewnianego domu nr. 30,

przy ul. Hipotecznej tonącej w ogrodach kwiecistych — mam przed sobą na biurku wielką fotografję wspaniałej zatoki nadbosforskiej Bejkos i jej przystani parowców. Fotografja owa dużego formatu (długa 25, szeroka 20 centymetrów) naklejona na znacznie większym brystolu wyjęta z grubej teki, obejmującej kilkadziesiąt innych widoków z moich podróży na Wschód południowy, kupiona w Konstantynopolu w zakładzie Braci Abdullah na Pera w r. 1887, po czterdziestu latach nie zbladła wcale, widocznie wykonana doskonale i utrwalona bardzo starannie. Przedstawia parowiec pasażerski śrubowy, odpływający powoli z przystani. Zdjęcie momentalne, ruchliwe fale Bosforu migocą tysiącem odblasków słońca, szeroka biała smuga pieni się z tyłu parowca. Za nim przecudne wybrzeże z pałacami i willami wpośród ogrodów i bujnych cyprysów. W oddali na wzgórzu pałac letni sułtański, otoczony rozleglym parkiem dokoła.

Jakież to piękne wszystko a jak dalekie, tak jak dawne o tem wspomnienia czarowne.....

W poniedziałek jak zwykle o godzinie 8-ej rano otwarłem nasz magazyn dla bieżących czynności. Służący Hamparzum, który sypiał tam zawsze, wziął się zaraz do mycia wielkich szyb żwierciadlanych w oknach gąbką, kredą miałką i wodą. Pan Juljan przygotowywał nowe okazy najpiękniejszych tac i innych wyrobów na nasze wystawy w oknach frontowych i bocznych.

Wieczorem wszedł do naszego magazynu dawny mój znajomy i abonent mojej czytelni w Warszawie, p. Pietraszewski. Człowiek już niemłody, posiwiały, ale zawsze bardzo ożywiony i elegancki. Przywitał się serdecznie, mówiąc, że przybył rano parowcem z Odessy ze swą żoną, i zamieszkał w pensjonacie prywatnym przy ulicy Asmali-Medżid, w sąsiedztwie Hotelu imperial, wpobliżu Ogrodu miejskiego „Pelits-Champs". P. Pietraszewski miał za mego pobytu w Warszawie uczelnię prywatną dla dzieci rodziców zamożnych przy ulicy Marszałkowskiej, niedaleko Saskiego ogrodu. Po stracie dwojga swych ukochanych dziatek państwo P. sprzedali swój majątek ziemski, i osiedlili się w Warszawie. Jako posiadający wyższe wykształcenie otrzymali koncesję na szkołę, i poświęcili się nauczaniu młodszej dziatwy w liczbie ograniczonej kilkunastu uczniów corocznie, aby tem łatwiej mogli sami tylko prowadzić swój zakład wzorowy i z większą korzyścią swoich wychowanków. Pani P., niewiasta anielskiej dobroci serca, cicha i łagodna, poświęcała się całą duszą zawodowi pedagogicznemu i swym obowiązkom wspólnie ze swoim małżonkiem, człowiekiem bardzo pracowitym i światłym. Był on także gorącym słowianofilem. Napisał i wydał za granicą dzieło historyczne p. t. „Lech, Czech i Rus", oraz parę broszur politycznych. Wybrał się na Wschód, pragnąc bliżej poznać Słowiańszczyznę południową, i miał zamiar prowadzić w Carogrodzie uczelnię dla dzieci polskich. Po zamknięciu naszego magazynu wieczór, zaprosiłem pana Pietraszewskiego do siebie na herbatę, dla

omówienia tych projektów razem z Ma, która także była dawniej nauczycielką. Żegnając się p. P. prosił, abyśmy go odwiedzili, jako bliscy sąsiedzi. To też nazajutrz, zaraz po zamknięciu magazynu wieczorem wybraliśmy się do państwa Pietraszewskich na pobliską ulicę Asmali-Medżid. Po dłuższej rozmowie poszliśmy wszyscy razem do sąsiedniego Ogrodu miejskiego na koncert orkiestry teatru tamtejszego.

Gdy wychodziliśmy po kolacji z ogrodu, jakiś drab w fezie czerwonym przecisnął się z tyłu pomiędzy mną a p. Pietraszewskim i z urągowiskiem zawołał: „Dobra noc! Gute Nacht!“ jakby chciał pokazać, że nas podsłuchiwał i szpiegował. Poprzednio widziałem go siedzącego w ogrodzie tuż za nami. Zapewne był to szpieg niemiecko-turecki, wściekły ze złości, że mu się nie udało podsłuchać nic ważnego, gdyż rozmawialiśmy wogóle niewiele, o rzeczach obojętnych, słuchając muzyki. Widocznie policja turecka zwiedziała się już o p. Pietraszewskim i śledziła go od chwili przyjazdu z Odessy. Jak zaznaczyłem już poprzednio niemcy w owych czasach starali się usilnie o swoją ekspansję na Wschodzie i wpływy polityczno-ekonomiczne w Turcji. Całą linję nowej kolei centralnej w Azji mniejszej starali się obsadzić swoimi technikami i kolonizować jej stacje swymi rzemieślnikami i kupcami. Żydzi trzymali tam stronę niemców i zajmowali się również szpiegostwem na rzecz Niemiec i Turcji.

W ciągu tygodnia p. Pietraszewski, pragnąc znaleźć odpowiednie dla siebie mieszkanie obejrzał kilka lokali na Pera. W niedzielę nadchodzącą rano, przy wolnym czasie zaprowadziłem go jeszcze do pięknego domu wykończonego niedawno, naprzeciwko Municypalności Pery. Po obejrzeniu całego I piętra, które było jeszcze do najęcia, okazało się, że komorne jako w śródmieściu było bardzo wysokie, a przytem mury jeszcze zbyt wilgotne.

Korzystając z pięknej pogodnej owej niedzieli (19 czerwca 1887 r.) p. Pietraszewski prosił, abyśmy się wybrali razem zwiedzić główny cmentarz mahometański w Skutari. Zaraz więc wstąpiliśmy po nasze panie, i doszedłszy pieszo do przystani parowców przy moście Stambułu, pierwszym odchodzącym parowcem pojechaliśmy na drugą stronę Bosforu do portu kolei azjatyckiej w Hajdar-Pasza. Stamtąd dalej pieszo na główny cmentarz turecki. Jestto wielki gaj starych cyprysów, ocieniający tysiące nagrobków z białego marmuru. Główna aleja środkowa, przeszło milę długa, ma po obu stronach szerokie chodniki kamienne dla pieszych. Tu i ówdzie wznoszą większe grobowce z pięknemi kopułami i kolumnami w stylu maurytańskim. Wpośrodku cmentarza, tam gdzie zbiegają się wszystkie boczne aleje na małym pagórku wznosi się kopuła wsparta na sześciu kolumnach z białego marmuru, osłaniająca platformę, pod którą pochowany został ulubiony koń sułtana Mahmuda zdobywcy Konstanstantynopola. Wokół stare grube cyprysy ciemnozielone, olbrzymiej wielkości, wznoszą wysmukłe wierzchołki na tle szafirowego

nieba. W ich cieniu drzemią równie stare grobowce prawowiernych mahometan, których zwłoki z dalekich stron tutaj sprowadzono Tu i ówdzie kamieniarze fachowi wykonywują pracowicie nowe ozbobne nagrobki z białych marmurów z pobliskich wybrzeży morza Marmara. Nagrobki męskie składają się z poziomej skrzyni pokrytej płytą płaską z dwoma słupkami po końcach. Słup w głowach wieńczy zwykle turban, po którego upięciu i ozbobach można rozpoznać epokę nagrobka. Słupy nagrobków dzieci nakryte są fezem gładkim. Słupy kobiet zdobi zwykle bukiet kwiatów lub liście palmowe misternie wyrzeźbione. Cisza i spokój panuje w tym gaju zmarłych, pełnym aromatu żywicznego cyprysów. Kawiarze wędrowni, podają napój czarny gotowany na piecykach żelaznych przenośnych. Tu i ówdzie snują się w milczeniu przechodnie, lub siedzą na grobach postacie pochylone w zadumie.

W cieniu starych cyprysów na schodach marmurowych grobowca konia Zdobywcy Bizancjum spoczęliśmy dłużej. Kawiarz podał nam cztery filiżanki świeżej kawy gorącej i ogień do papierosów. Stamtąd udaliśmy się jeszcze dalej na sam koniec cmentarza, w dolinę, przez którą płynął bystro mały strumień po łące zielonej. Tu rozłożyliśmy się wygodnie dla spożycia owoców, które wziąłem z miasta w pakiecie. Po dłuższym wypoczynku wróciliśmy powoli do przystani parowców Hajdar-Pasza, i odpłynęliśmy prosto do Złotego-Rogu. Stamtąd koleją Tunelu do Ogrodu miejskiego na obiad i koncert wieczorny.

P. Pietraszewski po zebraniu bliższych informacji, wobec wygórowanych cen komornego i trudności znalezienia odpowiedniego dla siebie mieszkania, postanowił ostatecznie osiąść na stałe w Szwajcarji w Genewie. Zaraz nazajutrz państwo P. parowcem francuskim „Messageries maritimes“ wyjechali wieczorem wprost do Marsylji.

W następną niedzielę 26 czerwca 1887 r., na życzenie Ma, pojechaliśmy parowcem azjatyckim prosto do Pasza-Bagcze, z pakietem żywności na cały dzień. Znajomy stary czarnogórzec powitał nas wesoło. Po krótkim wypoczynku, najprzód ja wykąpałem się w zacisznej zatoce morskiej, potem zaraz Ma. I znów na mórawie w cieniu starych dębów rozłożyliśmy się wygodnie dla spożycia naszego obiadu. Po dłuższym wypoczynku ruszyliśmy dalej przez lesisty pagórek, a potem ścieżką nadbrzeżną do następnej wioski tureckiej Czibukli, ocienionej staremi platami. Na kwadratowym placu tuż nad brzegiem Bosforu, przy ujściu małego strumienia, wokoło najgrubszego drzewa leżały stosy melonów różnego gatunku i wielkości. Kupiliśmy jeden żyłkowaty mocno pachnący, i z cukrem miałkim, pozostałym od naszego popasu, spożyliśmy na podwieczorek.

Nie tracąc czasu, udaliśmy się dalej pieszo wzdłuż długich murów bujnych ogrodów, wązkiem wybrzeżem kamiennem do następnej przystani parowców zwanej Rifaat-Pasza od posiadło-

ści przyległej z pięknym parkiem i pałacem. Przystań owa odległa jest od Stambułu 15 kilometrów czyli około 2 mile. Szerokie wybrzeże było tu puste zupełnie, prócz murów parku nie widać było nigdzie nawet kawiarni dla wypoczynku. Według rozkładu jazdy już tylko jeden parowiec ostatni miał tutaj przystanąć. Przed piękną bramą żelazną sąsiedniego pałacu Rifaat-Paszy, w cieniu wielkich platanów siedziało na taboretach słomianych trzech tęgich murzynów w czerwonych fezach, pąsowych kaftanach wyszywanych suto taśmami srebrzystemi, w szerokich białych szarawarach jedwabnych. Podeszliśmy do nich. Powstali grzecznie i prosili nas spocząć. Przywitawszy się po turecku zapytałem w której stronie jest tu najbliższa kawiarnia? Objaśnili, że zbyt daleko, i że nie zdążylibyśmy wrócić na czas na ostatni parowiec, który przybędzie już za pół godziny. Jeden z murzynów poszedł do ogrodu, i wkrótce powrócił z wielką tacą srebrną, na której przyniósł dwie piękne filiżanki kawy czarnej i dwie szklanki kryształowe wody. Postawił ją na trzecim taborecie przed nami, mówiąc, że jestto prawdziwa „mokka", którą jego pan dostaje od sułtana w prezencie. W istocie kawa była przepyszna, o niezrównanym smaku, aromatyczna i bardzo starannie przyrządzona. Nigdy nigdzie tak wybornej kawy nie piłem. Poczęstowałem murzynów dobremi papierosami, i dziękując za uprzejmą gościnę położyłem na tacy srebrną medżydję. Murzyn, który nas ugościł, uśmiechnął się grzecznie, i medżydję włożył do mego kapelusza, który trzymałem w ręce. Dziękował i mówił, że żadną miarą nie może przyjąć zapłaty, bo jego pan gniewałby się bardzo na niego. Pożegnałem murzynów wesoło i poczęstowałem jeszcze raz papierosami, dziękując za uprzejmą gościnę. Za chwilkę ostatni parowiec przybił do przystani, wysadził kilku pasażerów na brzeg a nas zabrał pośpiesznie na pokład. Słońce chyliło się już ku zachodowi, oświetlając czerwonym blaskiem azjatyckie wybrzeże Bosforu ich wille, pałace, meczety i przedmieścia stolicy. O zmroku już przybyliśmy do głównego mostu Stambułu, skąd koleją Tunelu do domu na kolację.

Ma zachwycona była tą naszą wycieczką, przepyszną kąpielą morską w Pasza-Bagcze, wybornemi owocami w Czibukli, mokką w Rifaat-Pasza i czarownym zachodem słońca.

Nazajutrz w naszym magazynie przed południem odebraliśmy z komory celnej Mum-Hane skrzynie z nowym transportem towaru z Warszawy. Jak zwykle zaraz po rozpakowaniu i sprawdzeniu z fakturami, wszystko ułożono systematycznie w naszym pakamerze. Pan Juljan ze służącym zmienił wystawy we wszystkich czterech oknach frontowych i bocznych, i wypełnił szafy magazynu odpowiednim zapasem podręcznym. Ja wniosłem wszystko na odpowiednie rachunki dla nowego sprawozdania miesięcznego dla dyrekcji głównej naszej fabryki. Niektórzy kupujący nieznający jeszcze naszych wyrobów dopy-

tywali się o ich jakość. Objaśniałem im stemple na przedmiotach srebrnych z próbą urzędową — w odróżnieniu od stempli na wyrobach posrebrzanych grubo na białym metalu, oraz wyzłacanych wewnątrz jak cukiernice, czajniki, kielichy kościelne, i t. p. Nasz służący Hamparzum objaśniał turkom i zapewniał ich, że to jest wyrób wyborowy z fabryki własnej, mówiąc:

— Czok ci tane, beas madem giumiusz-kaplamak.

Zapytywano, cczy to są wyroby słynnej fabryki francuskiej Christofla? Objaśniałem, że są właśnie w tym rodzaju z własnej fabryki polskiej Frageta w Warszawie, grubo srebrzone i trwalsze od francuskich. Rozdawałem przytem karty adresowe naszego magazynu z firmą i objaśnieniami w kilku językach: francuskim, polskim, tureckim, nowogreckim, włoskim, ruskim, niemieckim i armeńskim, wydrukowane w wielkiej ilości dla wypisywania not i rachunków sprzedaży.

Po przesileniu wiosennem i maksymalnej długości dniach nastały coraz większe upały letnie. Nasz stróż domu armenczyk imieniem Marko polewał wodą chodniki i przyległą część naszego Pasażu, w którego cieniu i w wielkiej bramie przecbodniej było znacznie chłodniej, niż na usłonecznionym placu przed dworcem kolei żelaznej Tunelu. To też zwykle drzwi boczne naszego magazynu od rana do wieczora trzymaliśmy otworem dla dostępu świeżego powietrza i chłodu. Nosiwody turki cały dzień sprzedawali świeżą wodę i kawałki czystego lodu sztucznego. W magazynie mieliśmy zawsze karafkę z zimną wodą, z której zwykle po południu robiliśmy z cytryn limonadę najlepiej orzeźwiającą.

Przed naszym magazynem na środku Placu Tunelu obozowało miejscowe stado psów ulicznych, złożone z kilkunastu brysiów i suk różnego wieku i wzrostu. Przywódcą stada był tęgi bryś, o byczym karku, utrzymujący w karności swych czworonożnych podwładnych i czujnie pilnujący nietykalności swojego terytorjum. Biada przybłędzie z obcego stada z ulic sąsiednich, który ośmieliłby się żerować na naszym placu. Całe stado natychmiast przepędzało go z ujadaniem strasznem. Nasze stado wylegiwało zwykle w cieniu największych domów sąsiednich, chroniąc się od upału. Żeru psy uliczne konstantynopolskie mają zwykle poddostatkiem z odpadków kuchennych, jakie im przed każdym domem wyrzucają wieczorem, ale wody nikt im nie daje. To też dla naszego stada kupiłem miskę glinianą szkloną, kazałem służącemu codzień po południu napełniać ją czystą wodą i stawiać przy bocznych drzwiach magazynu od bramy Pasażu. Psiska chętnie poiły się. Mianowicie jedna duża suka, która niedawno oszczeniła się i karmiła jeszcze swoje małe. Ta zawsze najpierwsza przychodziła do miski z wodą, a gdy jej jeszcze nie nalano, stała ziając od gorąca, i patrząc na mnie dopóty, aż kazałem nalać świeżej wody. Wtedy długo piła z zadowoleniem, wachlując się ogonem po bokach. Stróż domu Marko i nasz

stały bekdżi czyli stróż nocny Placu Tunelu chwalili tę sukę, że jest bardzo czujna, i w nocy nieraz warczy, gdy jaki spóźniony przechodzień kręci się koło drzwi magazynów i sklepów naszego rewiru.

Psy carogrodzkie uliczne są typowe w swoim rodzaju i przedstawiają wiele stron ciekawych dla studjowania obyczajów i psychiki tych czworonogów. To też mają nawet bogatą literaturę specjalną we wszystkich ważniejszych językach, oraz wzmianki obszerne w przewodnikach dla cudzoziemców po stolicy nadbosforskiej. Miałem między innemi bardzo interesujące studjum w tym przedmiocie p. t. „Les chiens de Constantinople“, bogato ilustrowane fotodrukami z natury. Znakomity podróżnik i świetny stylista włoski Edmund Amicis, w swojem słynnem dziele p. t. „Konstantynopol — wspomnienia z podróży“, poświęca owym psom rozdział bardzo interesujący (na str. 154 przekładu na język polski pomienionego dzieła, wydanego w Warszawie w r. 1879 przez Filipa Sulimierskiego mojego kolegę uniwersyteckiego, redaktora „Wędrowca“).

Jedną z najpiękniejszych miejscowości na azjatyckim brzegu Bosforu jest Anadoli-Hisar i dolina Gek-Su, czyli tak zw. Słodkich wód Azji naprzeciwko Rumili-Hisar na brzegu europejskim i na podobę Kiahathane-Su czyli Słodkich wód Europy rzeczki wpadającej do Złotego Rogu. To też korzystając z pięknej pogody dnia 3 lipca 1887 r., w niedzielę wczesnym rankiem zaraz po śniadaniu pośpieszyliśmy koleją Tunelu do przystani parowców przy moście Galaty, by udać się wprost do Anadoli-Hisar t. j. Zamku Azji zwanego także Gizel-Hisar cz. Piękny Zamek. Przystań tamtejsza parowców odległa 11½ kilometra od mostu czyli około 1½ mili, otoczona jest gajami starych platanów, dębów i sykomor wspaniałych. Zamek sam złożony z czterech wież i grubych murów jest obecnie malowniczą ruiną. Wpobliżu znajduje się ujście strumienia Gek-Su (Błękitna woda) i jego rozkoszna dolina. Na szmaragdowych łąkach błyszczy w słońcu pałac sułtański z białego marmuru, zbudowany przez Mahmuda I-go otoczony parkiem. Ulubione to miejsce spacerów bogatych haremów tureckich, mianowicie w dnie świąteczne piątkowe. Na brzegu Bosforu wpośród bujnych klombów wytryska obfite źródło, osłonięte ścianami z barwnych marmurów pod małą kopułą z półksiężycem złotym.

Po dłuższym wypoczynku i spożyciu naszego obiadu na zimno, po czarnej kawie gorącej od wędrownego kawedżiego, wyruszyliśmy dalej pieszo powoli przez rozkoszną dolinkę Kuczuk-Su czyli Małej-wody, a dalej brzegiem Bosforu do pobliskiej wioski Kandili z małym białym meczetem, otoczonej wieńcem bujnych ogrodów z barwnemi willami bogatych turków, greków, armjan i europejczyków. Nazwa wsi Kandlili pochodzi od latarni na śpiczastym przylądku, o który rozbija się prąd wód gwałtowny, niebezpieczny dla statków w tem najwęższem miejscu Bos-

foru. Po spożyciu reszty zapasu naszych owoców i wypoczynku w kawiarni nadbrzeżnej, doszliśmy przez wioskę Dżengel-kiej do świetnego pałacu sułtańskiego Bejlerbej-Seraj, otoczonego wspaniałym parkiem. Pałac ów z białego marmuru przebudował ze starego kiosku w r. 1865 z przepychem nadzwyczajnym sułtan Abdul-Azis, przeznaczając go na swą ulubioną rezydencję. W r. 1869 zamieszkiwała tam cesarzowa francuska Eugenja, podczas pobytu swego w Konstantynopolu. Potem gmach ten opustoszał i jest dostępny dla zwiedzenia przez cudzoziemców.

Przed zachodem słońca pośpieszyliśmy do pobliskiej przystani parowców, aby wrócić zawczasu do domu na kolację.

Dla rozwoju dalszego naszego magazynu i popierania sprzedaży wyrobów naszej fabryki, dawałem co pewien czas stosowne ogłoszenia w gazetach miejscowych. Rozsyłałem też nasze Cenniki bogato ilustrowane, w języku polskim, ruskim i francuskim, do pierwszorzędnych kawiarni, restauracyj, hoteli, pensjonatów szkolnych i t. p. Wreszcie pocztą liczne karty adresowe naszego magazynu w różnych językach miejscowych.

W niedzielę 10 lipca 1887 r. rano pogoda była niepewna. Więc po śniadaniu wyjechałem z Ma koleją żelazną Tunelu na Galatę do Agencji ruskiego Towarzystwa żeglugi i handlu, by w biurze pocztowem odebrać świeże gazety i wysłać moje listy do Warszawy w posyłce poleconej. Ma została tam chwilowo dla przejrzenia świeżych gazet w poczekalni parowców, a ja wstąpiłem do pobliskiego klasztoru prawosławnego Św. Pantelejmona, dla oddania osobiście przeorowi Cenników ilustrowanych naszej fabryki.

Klasztor Pantelejmoński prawosławny we własnej kamienicy czreropiętrowej zajmuje cały czworobok między czterema ulicami wpobliżu bulwaru morskiego. Na parterze mieszczą się tam wielkie składy i sklepy dochodowe kupców ruskich. Podszedłem do drzwi głównych klasztoru i zadzwoniłem. Odźwierny wpuścił mię do obszernego przedsionka z posadzką marmurową. Objaśniłem po rusku cel mego przybycia i zapytałem: gdzie mogę się widzieć z ojcem przełożonym. Odźwierny wskazał mi główne schody z białego marmuru, i dodał, że przełożony kończy właśnie odprawiać nabożeństwo w kaplicy na czwartem piętrze. Widocznie umyślnie tak wysoko pomieszczono tę świątynię, aby nie było słychać śpiewów kościelnych od ulicy, co mogłoby razić mahometan. Podówczas nie wolno też było w Turcji w kościołach chrześcijańskich używać dzwonów ani budować dzwonnic. Po wskazanych mi świetnych schodach, do których na każdem piętrze przytykały szerokie jasne korytarze, z szeregami drzwi, szedłem powoli. Na czwartem piętrze dopiero odpocząłem na ławce naprzeciwko otwartych drzwi od kaplicy, w której słychać było śpiewy kościelne duchownych. Po chwili wszedłem do kaplicy i stanąłem za progiem nieco z boku po prawej stronie oświetlonej dużemi oknami. Kilkudziesięciu marynarzy ruskich,

w bluzach niebieskich i białych pantaljonach, oraz kilku mężczyzn cywilnych zajmowali stojąc środek obszernej kaplicy. Naprawo i nalewo w stalach dębowych siedziało w krzesłach kilkunastu mnichów w habitach czarnych i takichże czapkach okrągłych, z różańcami w ręku intonujących od czasu do czasu modlitwy śpiewne. Przed złocistym ołtarzem, zdobnym w wielkie ikony w stylu bizantyńskim, kończył nabożeństwo ksiądz przeor. Czytał właśnie głosem śpiewnym, powoli akcentując w języku cerkiewnym, ostatnie wersety ewangelji św. Mateusza:

— Oto panna w żywocie mieć będzie i porodzi syna, i nazowią imię jego Emanuel, co się wykłada: bóg z nami.

Mnichy w stalach po tym wersecie zaintonowały chórem przeciągły pośpiew:

— Przemądrość (premudrosť)!

Dalej przeor czytał:

— Józef wstawszy ze snu uczynił jako mu rozkazał anioł pański, i przyjął żonę swoją.

Mnichy zaintonowały znów:

— Przemądrość!!

Przeor doczytał wreszcie koniec ewangielji:

— I nie uznał jej aż porodziła syna swego pierworodnego, i nazwał imię jego Jezus...

Mnichy zaśpiewały przeciągle:

Przemądrość (premudrosť).

Pośpiew ten powtarza się widocznie zawsze przy czytaniu Biblji po każdym wersecie, bez względu na to czy odpowiada jego treści czy też nie ma wcale sensu, co niekiedy wypada bardzo dziwacznie...

Przeor oddawszy ukłony przed ikonami wziął od kościelnego duży trybularz srebrny dymiący już kadzidłem nasypanem na rozżarzone węgle, i obszedł powoli mnichów kadząc im wokoło obficie. Ci oddawali mu pokłony żegnając się trzykrotnie. Przeor oddał trybularz kościelnemu i poszedł do zakrystji. Marynarze zaczęli się rozchodzić kłaniając się nisko przed ikonami świętych. Po nich wyszli wszyscy duchowni zakonnicy. Wtedy poprosiłem po rusku kościelnego, aby mię zameldował przeorowi w celu wręczenia Cenników, i dałem kartę z firmą naszego magazynu. Kościelny zaraz wrócił i wpuścił mię do zachrystji. Przeor siedział już w dużym fotelu, powitał mię uprzejmie podając rękę poprosił spocząć obok na krześle. Oddałem nasze Cenniki ruskie ładnie ilustowane. Objaśniłem wkrótkości ich treść, nadmieniając, że przy większych zakupach udziela się stosowny rabat od cen katalogowych. Dodałem, że nasz konsul pan Łagowski i pan ambasador hrabia Nelidow mogą poświadczyć wysoką jakość i trwałość wyrobów naszej fabryki. Kościelny wniósł na srebrnej tacy serwis z herbatą, więc pożegnałem się zaraz polecają łaskawej pamięci nasz magazyn, zaopatrzony zawsze w naczynia i przybory kościelne, stołowe i salonowe.

Wróciłem zaraz pośpiesznie do Ma, która tymczasem przejrzała już wszystkie gazety i czasopisma i oczekiwała mię niecierpilwie. Opowiedziałem jej wszystko, że musiałem czekać na dokończenie nabożeństwa przez przeora, i widzieć się z nim koniecznie osobiście. W poczekalni parowców, na ławce naprzeciwko Ma, siedział stary marynarz Panajot wilk morski, grek z Odessy, który dobrze mówił po rusku. Obecnie był jednym z dozorców przystani Agencji żeglugi tutejszej i szalup osobowych służących do przewozu pasażerów na parowce. Pogoda zrobiła się piękna, mgła poranna opadła, niebo zajaśniało słonecznie. Zapytałem Panajota, czy przy dzisiejszej niedzieli jest wolny, czy nie zawiózłby nas na drugi brzeg Bosforu naprzeciwko do Skutari. Zgodził się chętnie, więc umówiłem się z nim niedrogo. Wybrał zaraz lekką szalupę dwuwiosłówkę średniej wielkości. Ja zasiadłem u steru, Ma naprzeciwko mnie na wygodnej ławeczce. Panajot podniósł kotwicę, odpiął łańcuszek szalupy, odepchnął ją na wodę, i zaczął powoli wiosłować oburącz. Prąd popychał nas lekko ukosem, i wkrótce przybiliśmy do głównej przystani przy bulwarze Skutari. Panajot uwiązał szalupę na łańcuszek, zamknął go na kłódkę, wsunął wiosła pod ławki i wysadził nas na brzeg sprawnie. Poprosiłem go z nami na przekąskę do pobliskiej kawiarni bulwarowej. Kazałem podać ser holenderski, bułki i piwo wiedeńskie z lodu. Poczęstowałem Panajota papierosami i poleciłem, aby czekał do wieczora dla przewiezienia nas z powrotem.

Nie tracąc czasu poszliśmy wybrzeżem morskiem ku dworcowi kolei anatolskiej. Z rozległego placu mustry wojskowej koło olbrzymich koszar Selimje-Kizlar, przedmieście Skutari przedstawia się bardzo malowniczo. Przedmieście to największe w Konstantynopolu liczy około 50.000 mieszkańców przeważnie turków, w tem do 5.000 greków i armeńczyków. Zbudowane jest amfiteatralnie na stokach zachodnich góry Bulgurlu, której szczyt śpiczasty wznosi się 240 metrów nad poziom morza i panuje nad całą okolicą. Minąwszy koszary Selimje, doszliśmy do drugiego gmachu, który podczas wojny krymskiej w r. 1854 służył za szpital dla wojsk angielskich. W pobliżu na wyniosłym brzegu morskim leży cmentarz anglikański otoczony wysokiemi sztachetami z żelaza, bardzo starannie utrzymany. Wpośrodku stoi tam wielki obelisk z granitu szarego, na podstawie z kilku szerokich schodów, wniesiony jako pomnik dla poległych w wojnie krymskiej anglików. Z wysokiego skalistego wybrzeża, na którem rozciąga się ów cmentarz, widok jest rozległy i przewspaniały na przeciwny przylądek Stambułu, Złoty Róg, Galatę, amfiteatr Pery i pobliskie wybrzeża Bosforu, kąpiące się w szmaragdowej toni wód i blaskach słonecznych południa.

Po dłuższym wypoczynku wyruszyliśmy dalej koło dworca kolei anatolskiej do Kadikiej, ostatniego przedmieścia na azjatyckim brzegu Bosforu, z ludnością przeważnie grecką i armeń-

ską około 15.000. Za przedmieściem tem rozciągają się rozległe ogrody, bogate wille i bujne winnice, sięgające do południowych stoków góry Bulgurlu, gdzie rodzą się najwytworniejsze winogrona o wielkich jagodach słodkich soczystych, t. zw. czausze. Na bulwarze morskim, na ławce kamiennej w cieniu rozłożystych platanów odpoczęliśmy dłużej, dla spożycia naszego obiadu i owoców nabytych od przekupnia. Po czarnej kawie w pobliskiej kawiarni, powróciliśmy powoli do Skutari, wypoczywając parę razy na bulwarach pełnych ruchu i życia świątecznego.

Nasz przewoźnik Panajot siedział już w swojej szalupie, oczekiwał nas gotów do powrotu. Usiadłem przy sterze, Ma naprzeciwko mnie, Panajot wziął się do wioseł. Wkrótce zauważyłem, że silny prąd Bosforu zaczyna znosić nas ukośnie w stronę morza Marmara. Natychmiast posadziłem Ma przy sterze, sam założyłem drugą parę wioseł na dulki by pomódz Panajotowi, który czynił wielkie wysiłki, by nie dać się opanować prądowi. Pomimo sprawnego działania czterech wioseł całą siłą, zdołaliśmy dobić zaledwie do wybrzeża Starego Seraju Stambułu, zamiast wprost do Galaty. Prócz tego, trzymając się blisko brzegu, musieliśmy przesuwać się kika razy pod linami małych żaglowców uwiązanych przy bulwarze, a potem zręcznie lawirować w poprzek Złotego Rogu między licznemi kaikami i parowcami przy głównym moście Galaty. O zmroku już ze znacznem opóźnieniem przybiliśmy szczęśliwie do przystani Agencji żeglugi ruskiej. Panajot przytwierdził szalupę. Wypłaciłem mu umówioną należność z naddatkiem i poczęstowałem papierosami. Podałem rękę Ma i zaraz zasiedliśmy na werandzie poblizkiej kawiarni, by dłużej wypocząć po forsownej żegludze. Kazałem podać lody owocowe i parę szklanek wina greckiego dla orzeźwienia. Potem koleją Tunelu dostaliśmy się szybko do domu na kolację zapracowaną rzetelnie.

Ma przy herbacie nastroiwszy bardzo poważną minkę, pogroziła mi paluszkiem i dała nauczkę, abym więcej razy nie puszczał się na niebezpieczne prądy Bosforu wiosłówką. Ucałowałem jej groźny paluszek, przyznałem rację przestrogi i przyrzekłem poprawę.

— Bo coby było, prawiła Ma jeszcze, gdybyśmy nie zdołali dobić do Seraj-Burnu? gdyby prąd Bosforu poniósł nas na pełne morze Marmara? gdyby nagle powstał wicher niespodziany, fale spienione, gdyby zaskoczyła nas burza, grzmoty, pioruny...

— Gdyby, gdyby, gdyby! przerwałem Ma jej groźne przypuszczenia! Gdyby moje i Panajota starego wilka morskiego tęgie ramiona nie podołały dobić do wybrzeża Seraj-Burnu, to i tak nie dalibyśmy się ponieść prądowi na pełne morze, lecz całą siłą czterech wioseł wydostalibyśmy się na Zachód do południowych bulwarów Stambułu, i ze stacji Kum-Kapu koleją żelazną

lub tramwajem dojechalibymy do domu. Moje drogie dziecię! dodałem, gdy się ma poważne obowiązki, to ich się nie lekceważy. Panajot! stary wilku, wieziesz Ma! zawołałbym, za wszelką cenę musimy dobić do brzegu! Cóż to? czy nie należałem z naszym Promykiem-Pruszyńskim do założycieli Towarzystwa wioślarskiego w Warszawie? czy nie walczyłem z bystremi prądami Wisły w piorunową burzę? czy w Zatoce anielskiej pod Niceą nie mocowałem się z falami morskiemi? Czy nie uratowałem tam na strasznej głębinie naszej szalupy od zatonięcia, gdy przelękłaś się małego kraba i skoczyłaś nagle na burtę? więc teraz zamiast burczeć mię, rzuć mi się zaraz na szyjkę i... przebacz!

W połowie lipca upały wzmogły się znacznie. W magazynie naszym, pomimo obfitego skrapiania wodą chodników betonowych od strony Placu tunelu oraz Pasażu przyległego, bywało gorąco zwłaszcza po południu. Nasze stado psów korzystało też chętnie z wody na misce, którą kazałem napełniać na progu drzwi bocznych jak dawniej. Deszcz rzadko przechodził, i w mieście bywało parno. Jedynie wiatr morski, wiejący zwykle od rana do wieczora odświeżał nieco powietrze. To też oczekiwaliśmy zawsze niecierpliwie dnia wypoczynku świątecznego.

W niedzielę 17-go lipca zaraz po śniadaniu wczesnym rankiem wybrałem się znów z Ma na piękną i urozmiconą wycieczkę do Fener-Bagcze na azjatycki brzeg Bosforu. Koleją tunelu zajechaliśmy błyskawicznie nadół na Galatę. Z przystani przy głównym moście pierwszym odchodzącym parowcem popłynęliśmy na brzeg azjatycki do portu Hajdar-Pasza. Tamtejszy dworzec kolei stanowi punkt wyjścia wielkiej linji kolei Azji mniejszej, mającej z czasem połączyć Konstantynopol przez Ismid, Angorę i Bagdad z Zatoką perską, przez Teheran i Kabul z Indjami wschodniemi. Dworzec t. zw. kolei orjentalnych w Stambule, przy Starym Zamku Eski Seraju, stanowi punkt końcowy wielkiej linji międzynarodowej przez Sofję, Belgrad, Buda-Peszt i Wiedeń do Paryża i Londynu. Po linji tej kursują pociągi Ekspres-Orjent z wagonami sypialnemi, salonowemi i restauracyjnemi.

Przejazd ze Stambułu z przystani przy Głównym moście parowcem i koleją do Fener-Bagcze 8 kilometrów trwa godzinę i jest bardzo tani. Bilet parowca II-gą klasą na pokładzie, na ławkach otwartych pod daszkiem płóciennym, z rozległym widokiem wokoło, kosztuje 1 piastra, bilet kolei z Hajdar-Pasza do Fener-Bagcze II-gą klasą też piastra. Kursy parowców osobowych zastosowane są do rozkładu jazdy pociągów kolejowych tak że wprost z przystani przeszedłszy na pobliski dworzec wyruszyliśmy zaraz w dalszą drogę. Pociąg kolei złożony z kilkunastu wagonów po wyjeździe z dworca przebywa rozległą płaszczyznę, zostawia na boku wieś Hajdar-Pasza i zbliża się do brzegu morza Marmara, Przejeżdża przez most żelazny rzeczkę Karbali-Su i za-

trzymuje się o 2½ kilometra od dworca głównego na przystanku Kizil-Toprak nad zatoką Kalamisz. O 1½ kilometra stąd oddziela się od linji głównej kolei bocznica do stacji Fener-Bagcze na przylądku Fener-Burnu, tak nazywanym od pięknej latarni morskiej wznoszącej się na jego cyplu skalistym. Przylądek ten stanowi zachodni brzeg zatoki Kalamisz, za którą rozciąga się malownicze przedmieście Kadikiej, znane nam już z wycieczki poprzedniej. Latarnię morską wzniesiono tu na miejscu, gdzie stała dawniej starożytna świątynia Venus marynarskiej. Za małą opłatą dozorca wpuścił nas po kręconych schodach na górną galerję latarni, skąd roztacza się wspaniały widok na wybrzeża sąsiednie i wszystkie Wyspy książęce pokryte bujną zielenią wpośród szafirowych fal i na rozległy daleki horyzont.

Okolice Fener-Burnu zalegają piękne ogrody i bujne winnice czauszów. Wpośród nich bieleją tu i owdzie wille i domki wiejskie. Na przylądku Fener rozpościera się stary ogród, zarosły po brzegach gęstemi krzewami. Wkrótce po przyjeździe zrana, gdy jeszcze mało było gości, wyszukałem przy skałach nadbrzeżnych odległe ustronie osłonięte dobrze, aby orzeźwić się kąpielą morską w spienionych falach. W południe, gdy zaczynało być gorąco rozłożyliśmy w bocznej alei cienistej nasz pakiet z żywnością wziętą z domu dla spożycia obiadu. Na czarną kawę wstąpiliśmy do pobliskiej kawiarni tureckiej. W jej sąsiedztwie w cieniu starych platanów i buków znajdował się wielki basen z białego marmuru omszałego zielono. Z pionowego bloku też marmurowego, przez kran mosiężny wytryskał gruby strumień wody kryształowej, napełniającej po brzegi stary basen, widocznie zabytek dawnej świetności tego uroczego miejsca. Wokoło zarastała mórawa zielona, miękka jak dywan, i dzikie zioła wonne okryte kwiatem różnobarwnym. Między grubemi pniami platanów rozłożyliśmy się wygodnie z świeżemi gazetami na sjestę poobiednią. Z pociągów nadchodzących co kilka godzin, przybywało tu coraz więcej osób, przeważnie pod werandę kawiarni. Przed wieczorem w pobliżu nas zajął miejsce w cieniu drzew turek w średnim wieku, brunet przystojny z czarnemi wąsami starannie wygolony, w czerwonym fezie na głowie i w czarnym tużurku eleganckim. Postawił na ziemi duży kosz z kabłąkiem, przykryty białym obrusem. Z nim przyszły dwie damy tureckie pod parasolkami, w feredżach czarnych jedwabnych, zawoalowane białą gazą napół przezroczystą, upiętą lekko na głowie. Jedna z nich prowadziła za rękę ładnego chłopczyka brunecika lat około 10-ciu, w fezie czerwonym i czarnym surduciku. Wszyscy zasiedli wygodnie na trawie. Turek rozłożył starannie biały obrus na ziemi. Wyjął z kosza półmisek, noże i widelce. Duży udziec barani pieczony z grubym białym tłuszczem skrzepłym pokrajał na plastry. Na drugim półmisku, pociął wielkie ogórki, obrane ze skóry, na drobne kawałki, końcem noża posolił je i opieprzył. Na trzecim talerzu ułożył bułki

i wszystko przysunął do dam, zapraszając ję grzecznie do jedzenia. Po spożyciu owej tłustej baraniny na zimno z ogórkami surowemi, turek wyjął z kosza cztery szklanki i dużą karafkę krzyształową, kazał chłopczykowi napełnić ją wodą źródlaną z kranu. Wszyscy zapijali wodę obficie i rozmawiali wesoło, paląc papierosy. Turkom mahometanom niewolno pić wina ani wódki, więc wodą gaszą pragnienie. Ja też wyjąłem dwie szklaneczki z pakietu naszego, napełniłem je wodą ze źródła i zaniosłem Ma dla ochłody. Woda była wyborna, lecz zimna jak lód. Widocznie owi turcy mieli zdrowe żołądki i nawykli do picia zimnej wody po każdem jedzeniu. Na podwieczorek wyjąłem resztę owoców z pakietu, świeże figi i pomarańcze, a potem chłopcu z kawiarni kazałem podać dwie filiżanki gorącej kawy czarnej.

Ostatni pociąg wieczorny przybył już na stację pobliską, i gwizdał przeraźliwie. Miałem gotowe dwa bilety powrotne i zaraz zajęliśmy miejsca w wagonie. Słońce chyliło ku Zachodowi, złocąc migotliwe fale morza Marmara. W przystani Hajdar-Pasza czekał już parowiec osobowy, i wkrótce zawiózł nas do głównej przystani przy wielkim moście Stambułu. Jak zwykle koleją Tunelu przybyliśmy szybko na ulicę Bujuk-Hendek do domu na kolację. Ma, która bardzo dbała o hygjenę i unikała wszelkicb przyczyn do choroby, nie mogła się nadziwić owym turkom w ogrodzie Fener-Bagcze, którzy po skrzepłym tłuszczu baranim i ogórkach surowych pili wodę prosto ze źródła. To też my po naszym bifsteku angielskim, usmażonym naprędce na maszynce naftowej przy szeroko otwartych oknach o wieczornym chłodzie, zapijaliśmy ze smakiem wyborną herbatę chińską świeżo zaparzoną, z plasterkami pomarańcz i kilkoma kroplami aromatycznego rumu jamajskiego.

W poniedziałek, jak zwykle, punktualnie o 8-ej rano udałem sis do pracy w naszym magazynie. Służącemu kazałem kolejno ze wszystkich okien wystawowych powyjmować okazy, i oczyścić je starannie z pyłu. Pomocnik mój pan Juljan powstawiał je do szaf na właściwe miejsca. Natomiast wybrał nowości odpowiednie i umieścił efektownie w oknach.

W końcu lipca odwiedził mię w magazynie wójt osady polskiej w Adampolu p. Ludwik Biskupski. Żalił się, że szkoła ludowa jest tam nieczynna, że brak książek naukowych i gazet do czytania. Narazie dałem mu kilka okazowych numerów czasopism polskich jakie miałem pod ręką, i przyrzekłem przygotować partję książek odpowiednich dla założenia bibljoteki i czytelni. Wójt obiecał wstąpić po nie wkrótce, i zapraszał mię abym odwiedził Adampol. Było to jednak połączone z trudnością wielką z powodu braku czasu i złej komunikacji. Osada bowiem Adampol położona w Azji mniejszej, w odległości przeszło cztery godziny od przystani nadbosforskiej parowców Bejkos, nie miała podówczas drogi kołowej, a jazda konna możliwa była tylko

w liczniejszej gromadzie z powodu niebezpieczeństwa napadów rozbójniczych. Adampolanie swoje produkty, mianowicie nabiał, zwierzynę i t. p. dowozili do przystani zbiorowo na koniach jucznych. Masło, sery i zwierzynę upolowaną w lasach miejscowych nabywały od nich stale ambasady angielska i fraancuska, pod której opieką owa kolońja polska zawsze się znajdowała.

Adampol, założony w r. 1840 przez księcia Adama Czartoryskiego, rozwinął się i zagospodarował z czasem pomyślnie. Liczył w r. 1887 około 200 mieszkańców, zajmujących się prawie wyłącznie rolnictwem a w wolnym czasie myślictwem, w wielkich lasach własnych, obfitujących w sarny, dziki i inną zwierzynę.